

Dziś w numerze: ● Dyplomata w Wieluniu i Radomiu w 1474 r ● Szczury w listopadzie ● Poczciwy stary Dickens ● Coś pali się ● Recenzje ● Felietony

Łódź



Nr 43 (457)
29. X. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Z WYSTAWY FOTOGRAFIKI STUDENTÓW PWSTIF

Fot. — Roupen Vosgutmoroukian

Ja cię uczyć każe

Począwszy od lipca, opinia społeczna alarmowana była niejednokrotnie wypowiedziami krytycznymi pod adresem szkoły średniej, podnoszącymi problem zbyt słabego przygotowania absolwentów do podjęcia studiów wyższych. Wypowiedzi takie obiegły całą prasę polską, poczynając od czołowych pism społeczno-kulturalnych.

Czy faktycznie istnieje merytoryczny powód do niepokoju społecznego, czy też mamy do czynienia jedynie z „kaczką dziennikarską”? Czy na przestrzeni ostatnich lat obserwuje się istotnie krzywą regresyjną w zakresie przygotowania maturzystów do studiów? Jak te problemy przedstawiają się w poszczególnych dyscyplinach nauki? Aby otrzymać kompetentne odpowiedzi na te pytania, zaprosiliśmy do dyskusji przedstawicieli trzech wydziałów z Uniwersytetu Łódzkiego, uczestniczących od lat w egzaminach wstępnych: doc. dr Jerzego Starnawskiego z Wydziału Filologicznego, prof. dr Jana Lipińskiego z Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii i doc. dr Krystynę Kotelko z Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi oraz przedstawicieli Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi i województwa: Naczelnika Wydziału Ogólnokształcącego mgr Genowefę Adamczewską oraz kierowników referatów liceów ogólnokształcących: mgr Marię Święcicką i mgr Protazego Kusia.

Prezentujemy fragmenty dyskusji.



Mgr G. ADAMCZEWSKA: Najbardziej miarodajne byłoby zestawienie ocen z egzaminów wstępnych z ocenami, jakie wystawiła szkoła średnia. Niestety, nie mamy jeszcze opracowanych dokładnych danych w tym zakresie, będziemy dysponować nimi nieco później. Obecnie możemy oprzeć się jedynie na informacjach naszych delegatów, którzy uczestniczyli w egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie. Jesteśmy więc w stanie tylko w sposób ogólny mówić o przygotowaniu naszych absolwentów do studiów wyższych. Tym bardziej jednak niepokoją nas alarmujące wzmianki w prasie. Skoro my nie mamy jeszcze dokładnie przeprowadzonej analizy, nie mogą też mieć pełnego rozeznania w sytuacji przedstawiciele prasy. Publikuje się opinie, które niejednokrotnie są krzywdzące dla szkół, interesujących się bardzo losami swoich wychowanków.

Prof. dr JAN LIPIŃSKI: Sytuacja nie jest chyba alarmowa, ale nie jest też i dobra. Chciałbym powołać się na artykuł red. Kozakiewicza chyba w „Życiu Warszawy”, który rozumował mniej więcej następująco: jest dobrze, nie jest gorzej niż było dawniej, jeżeli chodzi o wiedzę wyniesioną ze szkoły średniej. Ale kandydatów mamy znacznie więcej niż było dawniej i dlatego jest więcej niezadowolonych, a w społeczeństwie pojawia się odczucie, że jest źle. Widzę wiele racji w takim stawianiu sprawy. Jeśli więc chcemy ocenić sytuację obiektywnie, trzeba mówić o wynikach egzaminów wstępnych na takim wydziale, na którym rekrutacja odbywa się mniej więcej tak samo jak dawniej, tzn. wszystkie osoby, które zdały egzamin, przyjęte zostały na studia. Tak było właśnie na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii. Nie wchodziła tu w grę dodatkowa punktacja (z tytułu dobrych ocen na świadectwie naturalnym, za wytrwałość, czy za pochodzenie społeczne). Każdy, kto otrzymał oceny pozytywne z egzaminów wstępnych, dostał się na studia.

Czy kandydaci byli gorzej przygotowani do studiów niż w latach poprzednich? Niech odpowie na to taka statystyka: średnia ilość punktów otrzymanych przez kandydata przyjętego na matematykę wynosiła w roku ubiegłym 15,9, w bieżącym — 14,6; na fizykę — w roku ubiegłym 16,8, w bieżącym — 15,5, a na chemię w roku ubiegłym 18,2, w bieżącym — 18,9. Różnice tego rzędu są właściwie nieistotne, niemniej jednak punktacja obniżyła się nieco. Natomiast egzaminatorzy oceniający sytuację obiektywnie, nie w oparciu o statystykę, zgodnie twierdzą, że poziom przygotowania był w tym roku gorszy niż poprzednio. Niepokój nas też porównanie ocen na świadectwach naturalnych z ocenami na egzaminach wstępnych. Zawsze istniała pewna rozbieżność tych ocen, to oczywiście, ale koledzy twierdzą, że w tym roku była ona większa niż zwykle. Sam przysłuchując się egzaminom, zwróciłem uwagę na taki przypadek: absolwentka jednej z produkujących szkół łódzkich, gdzie na pewno nauczyciele są bardzo dobrzy, nie potrafiła odpowiedzieć na najprostsze pytania z programu klas VI, VII choć na świadectwie miała czwórki. To tylko pojedynczy przypadek, ale zaskakujący i niepokojący.

Sama młodzież wypowiada się na studiach, że nie jest właściwie przygotowana do zdawania egzaminów, że „każę się i odbyć premierę bez próby generalnej”. Skarżą się studentki, że szkoła nie pozwoliła im się przystosować do tego, co ich czeka.

Dalszy ciąg na str. 3

Z sześciu
stron
o problemach
sportu

le... W czasie wielkich imprez zamiera w miastach życie.

Sport jest potrzebny ludziom do szczęścia, jako okrasa codzienności i szarzyzny. Sport rozwija się dynamicznie w wielkich miastach, co jest najlepszym — choć nie jedynym — dowodem, że właśnie w wielkich miastach jest najbardziej potrzebny.

Łódź jest wielkim miastem. Drugim po stolicy. Ale w Łodzi brak wielkiego sportu. Nie mamy takiego stadionu, jak Śląsk czy Warszawa. Nie mamy takich imprez, jak Wrocław czy Szczecin. Omija nas Wyścig Pokoju, umknął Memoriał Kusocińskiego... Dlaczego? Jesteśmy miastem usportowionym. Wybitnie usportowionym.

U nas padały rekordy frekwencji na meczach piłkarskich i wyścigach, u nas jest ogromna rzesza kibiców gotowych stawić się na sygnał...

Wychodząc z założenia, że w dziedzinie łódzkiego sportu wiele jest do zrobienia, zwróciliśmy się do sześciu zainteresowanych tym zagadnieniem osób z pytaniami:

— Jakie inwestycje sportowe są Łodzi najbardziej potrzebne?
— Jakich imprez brakuje łodzianom?

— Co by Pan zrobił dla sportu, mając do dyspozycji 137 milionów złotych?

Dalszy ciąg na str. 4

Sport zajmuje dużo miejsca w życiu człowieka. Sport w dwudziestym wieku przestał być tylko rozrywką, bez której, ostatecznie, można się obejść. Głód silnych doznań nurtuje miliony. Pęcznieją stadiony, ha-



Pozornie kanclerz Kiesinger mógłby mieć powody do zadowolenia — jeśli wierzyć bowiem ostatnio opublikowanym wynikom ankiety na łamach prasy bońskiej 60 proc. uczestniczących w niej mieszkańców NRF ocenia go na kanclerskim fotelu korzystnie — faktycznie jednak ma poważne powody do zmartwienia. A to przede wszystkim skutek fiaszka tzw. nowej polityki wschodniej. Poza sfinalizowaniem stosunków dyplomatycznych z Rumunią — w ciągu ponad 10 miesięcy kierowania rządem nic z jego zamiarów się nie spełniło. Na domiar złego, czego Kiesinger ani przez chwilę się nie spodziewał, nie udało się także polepszyć stosunków z Paryżem oraz odegrać roli wprowadzającego W. Brytanię do EWG. Z pewnością właśnie te niepowodzenia są przyczyną zdenerwowania czołowych polityków Bonn. A że zdenerwowanie jest złym doradcą — i Kiesinger, i Brandt nawarzyli sobie ostatnio piwa. Mam tutaj na myśli wywiady, udzielone „Sternowi”.

Kiesinger stwierdził, że uznanie NRD i granic na Odrze i Nysie „ulatwiliby w dużym stopniu politykę zagraniczną NRF, ale groziłoby jednocześnie burzliwym rozwojem prawicowego radykalizmu”. Brandt zaś udął, że nie rozumie po co w ogóle NRF, skoro nie ma granicy z Polską, ma się na ten temat wypowiedzieć. Pierwsza wypowiedź, choć szybko zdementowana, potwierdza ustami kanclerza, jak realnie jest w NRF niebezpieczeństwo skrajnego szowinizmu, druga — dowodzi, że Bonn brakuje argumentów do uzasadnienia swojego uporu.

Oba te wywiady odbiły się szerokim echem w Europie i doczekały dziesiątków komentarzy publicystów zagranicznych. Żaden jednak nie był Bonn przychylny. Tak zresztą, jak po debacie nad polityką zagraniczną w Bundestagu.

Napisałem powyżej, że rządowi Bonn nie udało się także wywrzeć skutecznej presji na Francję w sprawie przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Dowiodła tego, głośno reklamowana jeszcze przed jej dojściem do skutku, podróż Brandta do Francji. Wicekanclerz i minister spraw zagranicznych jechał do Paryża z pewną nadzieją, po powrocie zaś musiał przyznać: „Francja uważa, że jest jeszcze za wcześnie, że trudności są jeszcze zbyt wielkie...”. Więcej niż te słowa Brandta mówią tytuły prasy zachodniemieckiej: „Reklamowa podróż nie przyniosła postępu”, „Brandt nie obciąży już więcej przy rokowańach”, „Brandt musiał zrezygnować z pośrednictwa” itp.

A więc jeszcze jedno niepowodzenie, tym dotkliwsze, że spotkało ono Bonn tuż przed wizytą Kurta Kiesingera w Londynie i wyjazdem Willy Brandta na posiedzenie Rady Ministrów EWG do Luksemburga.

„W jakim punkcie — zapytuje „Aurore” — znalazła się węgier dyplomacja niemiecka?” i odpowiada: „W tym samym, w jakim znajdowała się przed Kiesingerem, a także przed Erhardem”.

Nie musimy z pewnością Czytelnikom dopowiadać, że ten „punkt” doprowadził gabinet Erharda do upadku...

W martwym punkcie znalazła się także tna nierealistyczna polityka — wietnamska polityka Stanów Zjednoczonych. Brak perspektywy militarnego zwycięstwa i brak dobrej woli negocjacyjnego rozstrzygnięcia problemu — oto przyczyna, według „Combat”, „dramatu Johnsona”.

„Im bardziej — pisze francuski dziennik — prezydent Johnson wzywa swój naród, aby skupił się wokół niego... tym bardziej przyczynia się do pogłębiania dyskusji i podziału, czyli inaczej mówiąc do tego, że tym mniej mu się wierzy”.

Znajduje to wyraz w ciągłym postępującym spadku popularności obecnego prezydenta. Doszło do tego — donosi prasa zachodnia — że prezydent zamyka się w sobie, nie dopuszcza, aby mu zaprzeczano i coraz rzadziej otacza się ludźmi, z których rad mógłby skorzystać. „Johnson, który niegdyś wierzył w nieomylność ankiety, przeprowadzanych na szeroką skalę, nie chce już czytać wyników tych sondażi”.

Niejednokrotnie pisałem na tym miejscu o narastaniu w USA fali niezadowolenia i sprzeciwu wobec polityki Waszyngtonu w Wietnamie. Każdego tygodnia przynosi nowe tego fakty, które trudno nawet wyliczać. Ostatnio jednak odczuwa się wyraźne zdenerwowanie w samej partii Johnsona — partii demokratycznej. Prasa amerykańska informuje, że wielu jest takich czołowych polityków, którzy gotowi są „zdezercerować” ze swej partii i poprzeć w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, kandydata republikańskiego, jeśli ten wystąpiłby z programem pokoju w Wietnamie.

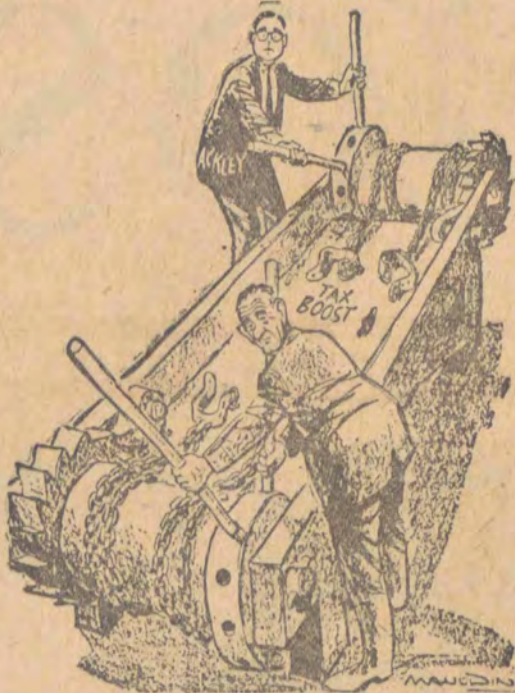
Także w samej prasie amerykańskiej dokonują się ciekawe procesy. Dzienniki dawniej bezkrytycznie popierające eskalację działań wojennych, dziś nie ukrywają rozczarowania z powodu nieskuteczności akcji militarnych — lądowych i lotniczych. „Wiele dzienników — stwierdza dwu czołowe tygodniki: „Time” i „Newsweek”, które podjęły się analizy tego problemu — uskarża się, że Johnson nie wykazuje dostatecznej aktywności w poszukiwaniu dróg do pokoju. Niektóre z nich zwiedzione bombardowaniami wzywają do zaprzestania ich, aby w ten sposób stworzyć szanse rozpoczęcia negocjacji”.

Johnson brnie jednak dalej i dalej. Bez perspektyw, ale z uporem.

W tym miejscu chciałbym — znów powołując się na prasę amerykańską — przypomnieć Czytelnikom, że „w ciągu 44 spośród ostatnich 66 lat Stany Zjednoczone były zaangażowane w różnego rodzaju akcjach wojennych w poszczególnych rejonach świata”. Czasem odnosi się wrażenie, że Johnson chce za wszelką cenę jeszcze „poprawić” tę statystykę...

W. ŚLAWSKI

Kronika TYGODNIA



— Ułituj się, drogi podatniku!

(International Herald Tribune)

● Jedną z czołowych osobistości algierskich z okresu powstania, Belkacem Krim założył w Paryżu nowe ugrupowanie opozycyjne. Wiadomość ta nie wywołała jednak w Algierii żadnego wrażenia. Twierdzi się, że utworzenie na emigracji nowej, czwartej już organizacji opozycyjnej wobec Rady Rewolucyjnej, raczej osłabia niż wzmacnia rzeczywiste siły opozycji.

● Radio chińskie podało informację, że ekstremistyczne elementy lewicowe atakowały kult Mao Tse-tunga i demaskowały „trójstronny sojusz władzy” jako wymyśloną przez Mao Tse-tunga formułę dla uzyskania posłuszeństwa wobec jego rozkazów. Obserwatorzy polityczni stwierdzają, że walka grupy Mao przeciwko tzw. ekstremistycznym elementom lewicowym jest nowym zjawiskiem w propagandzie chińskiej, bowiem dotychczas występowała ona wyłącznie przeciwko elementom „prawicowym”.

● Francja zajmuje obecnie pierwsze miejsce na świecie w dziedzinie rozwoju stosunków kulturalnych z zagranicą. Poza granicami Francji naucza 32.000 profesorów, istnieje 116 liceów francuskich, 232 instytuty i ośrodki kulturalne.

● Prezydent Jugosławii Tito będzie przewodniczył jugosłowiańskiej delegacji partyjno-rządowej na uroczystościach w Moskwie w związku z 50-leciem Rewolucji Październikowej.

● Na półkach księgarskich Paryża ukazała się książka historyka Raymond Tournoux poświęcona sylwetce generała de Gaulle’a. Autor pracy cytuje wiele wypowiedzi prezydenta Francji. Miał on m. in. oświadczyć: „Dokonałem wyboru. Być może myliłem się. Ale postanowiłem nie być dyktatorem... W 1945 roku próbowałem... wiedziałem, że te same siły, które doprowadziły do upadku Francji, klęski w 1940 roku, spokojnie powracają na miejsce, jak gdyby nie się nie wydarzyło... Gdyby nie chciał ustanowić moją absolutną władzę, mógłbym to wówczas uczynić i naród poszedłby za mną”. W innej części książki Tournoux cytuje wypowiedź de Gaulle’a, w której wyraża pogląd, że polska amerykańska odegrała główną rolę w zabójstwie Kennedy’ego.

● J. Hendrych, członek Prezydium KC KPCz., o roli prasy: „Zdecydowanie występujemy przeciwko ten dencji widzenia wszystkiego w różnych kolorach. Jednakże z takim samym zdecydowaniem występujemy przeciwko kłamliwemu, celowemu lub nawet przestępczemu wypaczaniu naszej rzeczywistości. Partyjny charakter informacji nie polega na tym, aby przemilczać rzeczywiste fakty i wydarzenia, jak to często czyni prasa burżuazyjna. Fakty i wydarzenia należy przedstawiać w powiązaniu z całym rozwojem społeczeństwa, trzeba prawidłowo je naświetlać oraz wyjaśniać ich sens i istotę, wychodząc z naszej socjalistycznej pozycji”.

● 80 proc. nalotów amerykańskich na Wietnam dokonywanych jest przez samoloty startujące z terytorium Syjamu. W Syjamie stacjonują oddziały amerykańskie w sile 40.000 ludzi, obsługujące 300 samolotów bojowych i 250 samolotów pomocniczych w 6 lotniczych bazach amerykańskich.

● Waldeck-Rochet, sekretarz generalny KC Francuskiej Partii Komunistycznej: „Żadna partia nie może pretendować do narzucania swego poglądu innym partiom, jak chciałoby to uczynić przywódcy maowscy, którzy głoszą otwarcie swoją wolę narzucenia całemu ruchowi komunistycznemu, wszystkim siłom antyimperialistycznym swojej awanturze i antyradzieckiej linii. Odrzucamy tego rodzaju zamiary, gdyż wszystkie partie są niezależne i mają równe prawa. Wielokrotnie już oświadczyliśmy, iż nie może być mowy o planach utworzenia dzisiaj jednego lub wielu ośrodków kierowania światowym ruchem komunistycznym. O ile nam wiadomo zresztą, tylko maowscy wysuwają tego rodzaju żądanie, oczywiście mając na widoku swoje korzyści”.

● Od 1950 do 1966 roku Stany Zjednoczone podarowały lub sprzedały zagranicy sprzęt wojenny, wartości

ponad 35 miliardów dolarów. Od roku 1961 sprzedaż ta i dary reprezentują średnio wartość 3 miliardów dolarów rocznie.

● AFP donosi z Tel Awiwu, że premier Eshkol po twierdził podział w łonie gabinetu izraelskiego na „jastrzębi” i „gołębi”, przy czym przewagę zdobywają zwolennicy twardej linii.

● Izrael forsuje energiczne plany rozbudowy własnego przemysłu budowy samolotów odrzutowych. Plan te przewidują budowę zakładów produkujących silniki odrzutowe, produkcję pierwszego skonstruowanego przez inżynierów izraelskich samolotu o krótkim rozbiegu w czasie startu.

● Koła dyplomatyczne w Londynie uważają, że premier Czou En-laj umocni w ciągu ostatnich tygodni swoją pozycję dzięki umiarkowanemu stanowisku, jakie zajmuje w gabinecie Mao Tse-tunga. Mówi się równo często, że w rezultacie rozdźwięków w łonie sił zbrojnych ChRL pozycja Lin Piao uważanego za następcę Mao Tse-tunga, została zachwiana.

● Sukces radzieckiej atomatycznej stacji „Venus-4”, która miękko lądowała na planecie Venus, odbił się szerokim echem na Zachodzie. Znaczenie tego osiągnięcia podkreślone jest ze szczególną mocą przez amerykańskich specjalistów w dziedzinie badań kosmicznych. James Webby, jeden z dyrektorów amerykańskiej agencji do spraw aeronautyki oświadczył, że jest to osiągnięcie, z którego może być dumny każdy naród.

● Komisja wojskowa KC KP Chin wystąpiła z nowym apelem pod adresem całego składu osobowego armii chińskiej, nawołującym do pilnego studiowania ostatnich zaleceń Mao Tse-tunga, w sprawie walki z egoizmem i kontynuowania kampanii krytyki pod adresem „chińskiego Chruszczowa i jego grupy”.

● Rozdźwięki w łonie amerykańskiej partii demokratów pogłębiają się. Grupa wybitnych działaczy tej partii nasila działania prze-

ciw ponownemu wystawieniu kandydatury Johnsona na prezydenta w wyborach 1968 roku. Demokraci ci twierdzą, że gotowi byłiby poprzeć każdego kandydata pod warunkiem, że będzie pacyfistą.

● Komisja wojskowa Izby Reprezentantów USA uchwaliła jednogłośnie podniesienie uposażeń personelu wojskowego o 2,7 miliardów dolarów w stosunku rocznym.

● AFP: Radio hawańskie nadaje codziennie półgodzinne audycje w języku francuskim, przeznaczone dla mieszkańców kanadyjskiej prowincji Quebec i będące czymś w rodzaju szkolenia w metodach akcji wywrotowej.

● Salisbury — wybitny publicysta „New York Times” o perspektywach konfliktu wietnamskiego: „Wydało mi się, że Stany Zjednoczone osiągnęły już granicę tego, co można zrobić dla wywołania skutecznej presji na Wietnam Północny. Sądzę, że niezależnie od tego, co uczynimy w przyszłym roku, nie będziemy w stanie poprawić swej pozycji. A jeśli tak, to moim zdaniem, byłby czas pomyśleć o rozmowach... Co najmniej o tajnych kontaktach z przedstawicielami FWN i Hanoi”.

● Dziennik „Rude Pravo” zamieścił artykuł poświęcony problemom szpiegostwa przemysłowego. Dziennik pisze, że chociaż Czechosłowacja nie jest potęgą gospodarczą, to jednak w skrytkach zakładów pracy i instytutów naukowych ukryte są dokumenty, które interesują konkurencję, a do których dostęp ma tylko ograniczony krąg ludzi. „W naszej ekonomice nie istnieje sprzeczność między pracą i kapitałem i tego rodzaju konkurencja, jaką widzimy na Zachodzie — rządzący się zasadami współpracy... ale nie żyjemy w próżni. Uczestniczymy w handlu światowym, musimy walczyć o miejsce w nim, konkurować i zdobywać nowe pozycje. Tam obowiązują inne zasady gry. Należy do nich handlowe i przemysłowe szpiegostwo. Z tym się musimy liczyć i bronić przeciwko temu”.



— Dlaczego nikt nie zauważa naszych oliwkowych gałązek.

(Los Angeles Times)

Ja cię uczyć każe

Dalszy ciąg ze str. 1

MGR G. ADAMCZEWSKA: W roku bieżącym mieliśmy w kl. XI liceów ogólnokształcących 3700 uczniów, w tym absolwentów 3500. Na studia wyższe zgłosiło się aż 2380 osób. Siłą rzeczy nie byli to tylko uczniowie najlepsi. Przystąpiła do egzaminów bardzo liczna grupa osób, która absolutnie nie miała predyspozycji do podjęcia studiów. I stąd alarm — podnoszony przez rodziców uczniów kierujących się ambicjami niewspółmiernie wielkimi w stosunku do możliwości dziecka. Tak więc na egzaminie wstępnym trafia element bardzo różny. I chyba jakieś 10 proc. to będą uczniowie bardzo zdolni, doskonałe kandydaci na studia wyższe, około 30 proc. to uczniowie dobrzy, a 60 proc. — ci, którzy próbują uczelni. A przecież alarm — właśnie o te 60 proc. Tymczasem my nie mamy możliwości wyperswadowania młodemu człowiekowi, że studia przerastają czasem ich możliwości. Każdemu z nich wolno przystąpić do egzaminów wstępnych.

MGR M. ŚWIECICKA: Daję się odnieść do społeczeństwa rozgoryczonego wynikiem między innymi z tego, że ilość absolwentów szkół średnich wzrasta rokrocznie w stosunku do ilości miejsc na wyższych uczelniach. A przecież w każdym roku atakują prógi szkół wyższych absolwenci nie przyjęci na studia w ubiegłych latach. Są tacy, którzy dwa i trzy razy próbują szczęścia. Mniej nadzieje, że teraz — po zreformowaniu szkolnictwa licealnego ta dysproporcja będzie się zmniejszała.

DOC. DR J. STARNAWSKI: Od kilku lat obserwuję się tragedię młodzieży, przede wszystkim ze względu na wyzdemograficzny, który w Polsce przeżywamy. Próbuje się znaleźć wyjście z kryzysu, ale czy wszystkie środki są skuteczne? Zasada konkursu jest niewątpliwie potrzebna w tej chwili, ale czy egzamin wstępny w swej obecnej formie jest dostatecznym konkursem? Mam co do tego wątpliwości. Przede wszystkim nie podoba mi się zasada pewnego dublowania matury. I tak np. kandydat idący na polonistykę pisze wypracowanie z literatury polskiej na maturze i na egzaminie wstępnym kandydat wybierający się na matematykę, czy studia politechniczne też pisze pracę pisemną z matematyki zarówno na maturze, jak i egzaminie wstępnym. Egzaminującym profesorom nie dało to należytego materiału do obserwacji.

Ideą egzaminu, przekształcającego system dublowania matury, widziałbym następująco: pierwszą konkurencją egzaminacyjną powinno być wysłuchanie przez kandydata wykładu z tej dziedziny, którą pragnie studiować i streszczenie tego wykładu. Tak postępowal przed wojną wydział medyczny w Warszawie. Druga konkurencja byłaby wprowadzony już przed kilku laty egzamin z języka obcego. Niestety, poziom języków obcych jest w szkołach średnich zaledwie minimalny i nieprędko będzie lepszy. Natomiast trzecia konkurencja powinna być swobodna rozmowa kandydata z komisją na temat, czego ten młody człowiek oczekuje od studiów, jak sobie te studia wyobraża. Jeśli to są studia humanistyczne — rozmowa toczyłaby się wokół ogólnych problemów kultury, z przekreśleniem granic poszczególnych przedmiotów. Kandydat powinien wykazać się umiejętnością samodzielnego myślenia.

PROF. DR J. LIPIŃSKI: My — matematycy uważamy, że program szkoły średniej z zakresu matematyki jest wystarczający, by po jego zrealizowaniu podjąć studia wyższe i sprostać wymogom uczelni. Nie-

mniej jednak młodzież ze szkoły średniej w większości przypadków nie posiada umiejętności, które winna sobie, zgodnie z programem, przyswoić.

Ministerstwo przywiązuje wielką wagę do nowych form egzaminów wstępnych, zachęca do eksperymentów, o ile pozwalają na nie warunki w danej uczelni i specyfika dyscypliny.

DOC. DR J. STARNAWSKI: Inna sprawa. Obecna instrukcja mówi, że na egzaminach wstępnych nie należy wychodzić w pytaniach poza program szkolny. Tymczasem kandydat na polonistykę przynosi na studia jedną dziesiątą tych wiadomości, które powinien posiadać. Dobry kandydat na polonistykę powinien mieć doskonały obraz literatury polskiej, dobrze znać historię Polski, łacinę i przynajmniej jeden z języków obcych. To nie są wcale wygórowane wymagania. Profesor Kleiner takie postulaty stawiał już w 1923 roku. A obecnie — mamy jedną dziesiątą tego. Łaciny w szkole nie ma, języków obcych w takim wymiarze, w jakim są potrzebne — nie ma, historię przerabia się powierzchownie. Co prawda, od paru lat poprawił się trochę program z historii. Natomiast nie można tego powiedzieć o programie z zakresu literatury polskiej. Jeżeli np. Kruczkowski reprezentowany jest dwoma większymi poezjami, a Słowacki tylko jedną, jeżeli w lekturze nie ma już „Ballady” i „Kłosa”, „Konrada Wallenroda”, ani „Ogniem i mieczem”, to dochodzimy do nonsensów.

Drugie poważne niebezpieczeństwo, które widzę w przygotowaniu kandydatów, w ich przyzwyyczajaniach, to sloganowość wykształcenia. Zawinili tutaj te lata, w których uczono według pewnych schematów i program przewidywał nawet kierunek naświetlenia tematów, od którego nie wolno było odstępować. Niestety — i obecnie słyszy się na egzaminach dość często wypowiedzi sloganowe.

Trzeba pochwalić nauczycielstwo za to, że w zakresie obowiązującego programu uczy z każdym rokiem troszeczkę lepiej. Zbyt często jednak brak tym pedagogom indywidualności. A przecież nauczyciel powinien być trochę indywidualnością, mieć do niej prawo, trzeba mu więc zostawić pewną swobodę, dać możliwość poszerzania programu, jeśli uzna to za stosowne.

Prasa często sarkają na obowiązujące od niedawna przy egzaminach wstępnych zasady punktacji. Owa punktacja ma swoje dobre i złe strony. Oceny z przedmiotów kierunkowych, które jej podlegają, były na ogół dobre, z odpowiedzialnością stawiane przez szkoły. Widziałem jednak i takie świadectwa, w których wszystkie oceny są dostateczne, a tylko przedmioty kierunkowe mają dobre oceny. Świadczy to o tym, że począwszy od klasy dziesiątej, uczeń nie uczy się równomiernie wszystkich przedmiotów, dba tylko o te, które podlegają punktowaniu. I to zjawisko uważałem za ujemną konsekwencję obowiązujących w tym zakresie norm.

MGR P. KUŚ: Sloganowość bierze się między innymi z encyklopedycznego charakteru naszej szkoły. Nauczyciel ma tyle materiału do przerobienia, że z trudem mieści się w czasowych ramach lekcji. Niejednokrotnie nie ma dostatecznej ilości czasu na powtórzenie wiadomości, ani na syntezę. Dlatego musi uciekać się nieraz do etykiet. Trzeba by się zdecydować, czy na przykład z języka polskiego przerobić 50 utworów, ale pobieżnie, czy też 25, ale za to gruntownie, tak, żeby to dało uczniowi metodę analizy dzieła literackiego, możliwości wczucia się w artystyczny utwor, przemyslenia jego zawartości rzeczowej, poznawczej. Wiedza ciągle narasta. Programy muszą ten fakt uwzględniać. Np. z fizyki czy chemii uczeń musi wynieść ze szkoły bez porównania więcej wiadomości niż — powiedzmy — 20 lat temu. A przecież możliwości czasowe nauczyciela i ucznia są takie same jak wtedy. Nowa siatka godzin i nowe programy nie rozwiązały całkowicie problemu przeladowania szkoły średniej nadmiarem materiału.

Walka ze sloganowością jest bardzo trudna i z tego względu, że mamy tu do czynienia z typowym „błędem kołem”. W tzw. „minionych latach” uczniowie wypuszczali absolwentów przyzwyyczajonych do szermowania sloganami. Ci ludzie uczą teraz w szkołach...

DOC. DR K. KOTELKO: Zgłaszają się do nas kandydaci, którzy nie mają żadnych predyspozycji do studiów wyższych. Jeśli jest wielki napływ, to i odśwież jest duży. W tym roku mieliśmy na biologii 73 proc. egzaminów niedostatecznych. Przyjeliśmy na studia 115 osób. Czy poziom ich przygotowania jest wyższy, niższy czy taki sam, jak w latach ubiegłych? Chyba nie jest gorzej, ale nie ma też poprawy. Niepokojąca jest duża rozpiętość punktów otrzymy-

wanych przez kandydatów (od 28 do 7). Jeżeli wybieramy z 450 kandydatów 115, to powinniśmy móc wybrać samych dobrych. Ale tak nie jest. Pomimo konkursu 50 proc. przyjętych stanowią ci, którzy na egzaminach ocenieni zostali jako dostateczni.

Wydaje mi się ponadto, że zmiana systemu maturalnego obniżyła w jakiś sposób poziom języka polskiego. Przychodzą do nas kandydaci, którzy nie potrafią mówić poprawnie pod względem gramatycznym i robią skandaliczne błędy ortograficzne. Co mamy robić? Mówią nam potem — „wypuszczacie niedouczonego magistra”. Absolutnie nie powinniśmy przyjmować na studia kogoś, kto nie zna dobrze języka polskiego. Bo jak on potem będzie uczył w szkole?

MGR P. KUŚ: Czy faktycznie istnieją ścisłe relacje (lub czy powinny istnieć) pomiędzy ocenami na świadectwach dojrzałości, a wynikami egzaminów na wyższe uczelnie? Czy można czynić porównania i wyciągać na tej podstawie wnioski zmierzające do oceny pracy szkół? To chyba nieporozumienie. Ścisłe relacje nie powinny być brane pod uwagę. Szkoła poznaje ucznia przez szereg lat, ocenia nie tylko jego wiadomości, ale także wysiłek, zdolności, pracowitość, stosunek do pracy. Te walory osobiste, charakteru waży w jakiś sposób na ocenie. Natomiast na egzaminie wstępnym na wyższą uczelnię czynnik ten nie są brane pod uwagę. Ponadto inne są kryteria egzaminu konkursowego na wyższe uczelnie, a inne — ocen stawianych w szkole średniej.

Prasa niejednokrotnie podnosiła problem, że uczniowie z większych miast są na ogół lepiej przygotowani do studiów wyższych, niż młodzież z mniejszych ośrodków. Interesujące byłoby podjęcie badań, jaki procent absolwentów mniejszych miast dostaje się na wyższe uczelnie, jaki procent z ośrodków wielkomiejskich i jaki odsetek spośród nich kończy studia. Ja osobiście stawiam tezę, że procent ten wypadnie korzystnie dla mniejszych miast.

DOC. DR K. KOTELKO: Według ogólnego rozeznania (bez danych statystycznych), środowisko łódzkie nie wybiłoby się u nas. Odsiew był taki sam w grupie młodzieży wielkomiejskiej, jak i z małych ośrodków. Zdziwiają czasem kandydaci z zupełnie małych środowisk, którzy są bardzo dobrze przygotowani, ale to są właśnie ci kandydaci najzdolniejsi, którzy mnóstwo czasu poświęcili nauce i nawet egzamin z języka obcego zdają na piątkę, co zdarza się bardzo rzadko.

DOC. DR J. STARNAWSKI: Czy lepiej przygotowana jest do studiów młodzież z małych czy dużych ośrodków? Trzeba być bardzo ostrożnym w generalizowaniu tego zagadnienia. Sprawa wymaga badań socjologicznych — byłyby bardzo wskazane. Jedno jest jednak pewne: w ośrodku prowincjonalnym odpowiedzialność nauczyciela zwiększa się, gdyż szkoła jest czymś więcej dla ucznia niż w ośrodku większym. Konkurencja dla szkoły prowincjonalnej może być tylko telewizja, bo telewizor może się już w tej chwili znaleźć w każdej wiejskiej chałupie w Polsce. Nie ma natomiast konkurencji w kinie, w teatrze, w meczu bokserskim, w tym wszystkim, co odciąga od szkoły w większym mieście. Tylko warunki do pracy mogą być gorsze, np. z powodu braku dobrej biblioteki. W małym ośrodku nauczyciel musi dać z siebie bardzo dużo, musi zastąpić młodzieży, to do czego uczniowie nie mają dostępu. Jeśli ten nauczyciel jest dobrym wychowawcą, to młodzież do niego łgnie i w takim małym ośrodku można pracować lepiej, niż w dużym mieście. Tylko to musi być, oczywiście, nauczyciel-indywidualność.

ODGŁOSY: Bardzo ważnym problemem jest sprawa naukowego rozpoznania potencjalnych możliwości ucznia w szkole średniej, określenia kierunku, który uczeń powinien wybrać na studiach wyższych, np. przy pomocy testów. Przecież o wyborze dokonany przez abiturienta decydują często względy subiektywne. Zdarza się, że w tej samej szkole uczy bardzo dobry matematyk i kiepski polonista. W rezultacie część młodzieży utalentowanej humanistycznie pójdzie z tej szkoły w kierunku matematycznym. Może też być odwrotnie. Pomyłki przy dokonywaniu wyboru kierunku studiów są dla młodzieży bardzo przykre. Odpada się potem na pierwszym, drugim, a czasem i trzecim roku... Marnowanie życia, wypaczony charakter, kompleksy klęski na przyszłość. Czy nie powinien więc istnieć jakiś naukowy aparat, który zapobiegłby tak tragicznym nomyłkom?

MGR M. ŚWIECICKA: Młody, 17- czy 18-letni człowiek faktycznie gubi się w tej olbrzymiej skali zawodów, jaka teraz istnieje. Potrzebna jest mu więc informacja,

pomoc w wyborze kierunku studiów — zgodnie z uzdolnieniami i zainteresowaniami. Poza poradnią typu psychologicznego (Poradnia Społeczno-Wychowawcza) nie ma w Łodzi żadnej innej instytucji, która by się tym zajmowała.

DOC. DR K. KOTELKO: Na I roku obserwujemy zjawisko dużego odśiewu. Bywa i tak, że młody człowiek utrzyma się wprawdzie na studiach, ale przechodzi z roku na rok z takim trudem, że studia zamieniają się dla niego w torturę. Albo więc obrabiał zły kierunek, albo w ogóle brak mu zdolności, wytrwałości. Ludzie muszą wreszcie zrozumieć, że na studia winni się dostać kandydaci najzdolniejsi, albo obdarzeni żelazną wytrwałością. Wtedy nie byłoby zawodów i tragedii. Lepiej nie mierzyć za wysoko, jeśli jest się tylko bardzo przeciętnym uczniem. Konkurs trzeba wytrzymać i pod względem psychicznym.

Żal nam niezmiennie tych młodych, 17-, 18-letnich ludzi, kiedy przez kilka dni pot kapie im z czoła, drża ręce. Ale komu to się zdarza? To są ci niepewni swych wiadomości, którzy na egzamin idą jak na loterie. Ci właśnie momentalnie załamują się podczas odpowiedzi, gdyż przestają myśleć. Zadawanie pytań dodatkowych, w celu naprowadzenia na prawidłową odpowiedź pograża ich tylko jeszcze bardziej, bo nie są już w ogóle w stanie myśleć. Zdarza się i uczniowi dobrze przygotowanemu, że czegoś zapomni — może wskutek zdemotywowania. Kandydat przygotowany potrafi się jednak w końcu opanować i wybrnąć z sytuacji, bo myśli. Trzeba to bardzo wyraźnie powiedzieć: młodzież słabo przygotowana nie ma szans przy konkursie.

MGR G. ADAMCZEWSKA: To wszystko przypomina także bardzo trudny problem rekrutacji, przed jakim w tym roku stanęły szkoły średnie. W społeczeństwie pojawiło się niezadowolenie: co się dzieje — nie można się dostać do liceum, mimo że rok czy dwa lata temu nie było z tym większych kłopotów! W roku bieżącym zarysowuje się zmniejszony limit miejsc. Taka sytuacja na pewno podniesie rangę liceów ogólnokształcących, do których trafiać będą tylko uczniowie najzdolniejsi. Ale ambicje rodziców są tak niewspółmierne do możliwości ich dziecka, że szkoły zasadnicze nie są brane pod uwagę w planowaniu przez nich dalszym kształceniu. Pod presją rodziców ubiegają się więc o przyjęcie do liceów uczniowie, którzy absolutnie nie są pod względem możliwości — kandydatami do szkół tego typu. I nie można wyperswadować tego rodzicom, nie można odwieść ich od podjętych decyzji, przełamać nieczym nie umotywowanego tępego uporu, poskromić zbyt wybujałych ambicji. Efekt: przychodzi niepowodzenie, a w ślad za nim rozgoryczenie.

MGR P. KUŚ: W dyskusji, która toczyła się na łamach poważnej prasy, nie mogłem dostrzec dotąd atmosfery pojednania między szkołami średnimi a wyższymi uczelniami. A przecież to powinien być jeden z głównych celów tej dyskusji. Przed całym systemem edukacji narodowej: od przedszkola do uniwersytetu, stoi bowiem jeden cel: jak najbardziej wszechstronny rozwój wychowanków, stosownie do możliwości szkolnych. Winna więc istnieć platforma współpracy. Powinno dojść do zbliżenia szkół wszystkich typów, a szczególnie szkół średnich z uczelniami wyższymi. Tymczasem — jak do tej pory — istnieje tendencja do zamykania się we własnym środowisku. Szkoła średnia broni się przed opinią szkoły wyższej, twierdząc, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, a szkoła wyższa rzucza całkowicie winę za braki w przygotowaniu kandydatów do studiów na szkołę średnią, choć sama też nie jest bez winy, bo wypuszcza także i młodych absolwentów, którzy idąc do szkół nie pracują tam najlepiej. Trzeba zrobić wszystko, aby przejście młodzieży ze szkoły średniej do wyższej nie było dla niej szokiem, a z drugiej strony — żeby szkoły wyższe miały możliwość doboru jak najlepszych kandydatów.

Rozwiązanie problemu przygotowania młodzieży przez szkoły średnie do studiów wyższych widzę mimo wszystko optymistycznie. Od paru lat staramy się bowiem rozwiązać problem rozłączenia specjalnej opieki nie tylko nad uczniem słabym, ale i zdolnym. Uważa się bowiem zdolnego ucznia za cenny kapitał narodowy. Ta specjalna opieka nad uczniem zdolnym nie jest jeszcze w pełni rozwinięta. Wymaga to szerokiego rozbudowania systemu pracy pozalekcyjnej, dalszego rozwoju kół zainteresowań, a więc i dodatkowych środków finansowych. Nie mówiąc już o warunkach lokalowych. Myślę jednak, że stopniowo uporamy się z tymi trudnościami. I wtedy właśnie będziemy w stanie dostarczać wyższym uczelniom kandydatów znacznie lepiej przygotowanych do podjęcia studiów.

Notowała: EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

KOMU PIOSENKĘ?

Ludwik Erhardt w „Kulturze” stwierdza, że młodzież w Polsce szuka tego, czego jej nie daje współczesny wiersz, wspólnie opowiadanie: sentymentu, wzruszenia... Chwali Ewę Demarczyk (my też jesteśmy jej płytą zachwyceni), krytykuje Młynarskiego (chyba przesadnie), opisuje popyt na utwory Czesława Niemcewicza.

Ze względu na ten popyt autor stwierdza:

O piosenkach właściwie u nas

się nie pisze. Co roku z okazji festiwalu opolskiego i sopockiego pojawia się w prasie sporo artykułów i felietonów traktujących piosenkę jako problem, zagadnienie, kulturę masową, zjawisko socjologiczne i w ogóle. Bardzo to wszystko mądre i głębokie, ale trochę za dużo ogólników...

Nie ma więc recenzji piosenek, krytycznych omówień i kazujących się płyt, ani żadnych bardziej szczegółowych rozważań nad stylem i umiejętnościami poszczególnych wykonawców. Jest to sytuacja dość ważna w zestawieniu z wiel-

kim znaczeniem, jakie się we wspomnianych artykułach przy pisuje „problemowi piosenki”. Krócej mówiąc: płyty domagają się liczniejszych recenzji!

„SOLIDARYZM”

Solidaryzm — w „Słowniku” pod redakcją prof. Doroszewskiego to „pogląd, według którego podstawową cechą społeczeństwa jest naturalna wspólnota interesów wszystkich klas i warstw, niezależnie od różnic majątkowych i społecznych...”

U nas występuje on w przeświadczeniu gospodarce, łączące różnych ludzi w dążeniu do szybkiego zubożenia się. Jednym z przykładów „solidaryzmu” znajdujemy w relacji „Prawa i Życie”. Chodzi o premyt złota, który zespół małżeństwo: lekarkę i kapitana żegluzi wielkiej; drugiego oficera statku na skandynawskich liniach, Polkę ze Szwecji i szwaczkę Regine Kaszube. W ciągu dwóch lat dokonali oni nielegalnych obrotów dewizowych na sumę 20 mln złotych. Wspólnikami byli także niejacy: Herszkowicz i

Moszkowicz z Hamburga. Zajęto się nawet produkowaniem złotych dwudziestodolarówek.

Przy okazji „Prawo i Życie” informuje:

...oryginalne złote monety 20-dolarowe mają próbną 900/1000 i wagę 3,437 g. „Krajkę” zaś przywożone masowo via Bałtyk, legitymują się, jak to obecnie stwierdzono, próbą 650/1000 i wagą 3,2 g. Ciut, ciut przy skąpo. Ale ta właśnie różnica bogactwa wszystkich.

Dodajmy, że pani doktor i pan kapitan nawet nie mieli czasu na to, by pomóc ubogim rodzicom jednej ze stron.

REAKCJA NA MAKĘ Z GIPSEM

Inaczej może ona wyglądać w sklepie spożywczym, a inaczej w TV, której audycje „Turniej miast” śledzą ładne miliony widzów.

Nie dziwny jest więc J. P. Gawlikowi, któremu zdarzenie posłużyło za temat do obszernego artykułu w „Życiu Literackim”.

Jedną z kolejnych konkurencji turnieju był konkurs mienia na żarach — o zwycięstwo decydowała ilość maki zmielonej w ciągu 2 bodaj minut. Mąkę tę skrupulatnie ważono pod okiem kamery. Otóż zdarzyło się, że uczestniczka turnieju, reprezentantka Nowego Targu, aby przysporzyć sobie szans i przypieczętować zwycięstwo, dopadła do zmielonej części pewną ilość gipsu (waga) przyrównanego na ten cel i przyniesionego w rekwizycie! Prawnik powiedziałaby: działanie z premedytacją, o wyjątkowo dużym (w skali zdarzenia) nasileniu zła woli. Oszustwo było oczywiście: prowadzący konkurencję red. Eugeniusz Pach natychmiast je zde-maskował. Przerwał zabawę, odsyłał zepsutą makę i przypieczętował zwycięstwo.

Wówczas, że jest to mąka i odwołali się do jury. I tutaj nastąpiła najważniejsza (i najbardziej niepokojąca) część sprawy. Jury po krótkiej dyskusji przeszło do porządku nad pozwolenia godną przedsiębiorczą ci zawodniczkę. Co więcej: pośrednio premiowało inicjatywę zatwierdzając wynik ko-

rzystny dla zespołu nowotarskiego. Pięć lub sześć milionów ludzi w Polsce przekonało się nagle, że gruntuje właśnie na ten temat doświadczenia, że można popełnić dowolnie oszustwo, można być na tym oszustwie nawet przylipniętym lub nie — i nie specjalnie z tego tytułu z reguły się nie dzieje...

Gdybyśmy tak jak J. P. Gawlik reagowali na różne podobne sprawy, wszyscy lepiej na tym wychodziliby.

SPROSTOWANIE

W przeglądzie prasy z 15. X. chodzilo nie o „oferty”, ale o afery, czegoż można było zresztą się domyślić. W przedostatnim było że z deklinowaniem. Trudno wszystko sprostować, można jednak zgłosić prośbę do Korespondentów i Admistrato-ów, gdyż wszyscy powinniśmy pamiętać o przyszłości: errare humanum est, lub w brzmieniu bardziej rodzinnym: fusare humanum est...

JAN OLECHNO

Z sześciu stron o problemach sportu

Dalszy ciąg ze str. 1

MARIAN KACZKOWSKI —
(KIBIC)

Sprawą najistotniejszą dla miasta w dziedzinie sportu wyczynowego i amatorskiego są baseny pływackie. Paradoks: mamy w herbie łódź — nie mamy wody. Gdybyśmy mieli kilkadziesiąt milionów złotych i mógł tę sumą dysponować według własnego uznania — utopiłbym to wszystko w wodzie. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać jak ważną rzeczą jest nauka pływania — wymaga tego bezpieczeństwo (każdego roku notujemy kilkadziesiąt wypadków utonięć, spowodowanych w głównej mierze brakiem umiejętności pływania), wymaga tego również zdrowie każdego człowieka. A tu co?... Większość łódzian bezskutecznie atakuje latem ciasne kąpieliska, natomiast zimą zupełnie zapomina o tym, że istnieją na świecie kryte pływalnie. Więc po wtwarzam: jeśli Łódź są natychmiast potrzebne jakieś sportowe inwestycje, to właśnie baseny — kryte i otwarte (z podgrzewaną w chłodniejsze dni wodą), zapewniające ludziom ciągły kontakt z tym pięknym i jakże zdrowym sportem.

Jeśli chodzi o imprezy, to Łódź nie widziała już od dawna dobrego meczu lekkoatletycznego w międzynarodowej obsadzie. Bardzo to dziwne. Mówi się, że nie mamy odpowiednio dużego stadionu. Nonsens! Frekwencja na zawodach lekkoatletycznych nie jest aż tak wielka jak na meczach pił-

Krakowie (50 tys.), Szczecinie, Wrocławiu i Gdańsku.

Niemniej potrzebna jest Łodzi duża hala sportowa z odpowiednim wyposażeniem technicznym. Ta, którą mamy, choć nie mała, nie odpowiada wymaganiom nowoczesnego sportu. Potrzebna jest hala z odpowiednimi elementami wymiennymi, którą w przeciągu krótkiego czasu można przeobrazić w boisko do koszykówki, albo w lodowisko, albo w tor kolarski czy kort tenisowy, albo w stadion lekkoatletyczny. Wiele jeździłem po świecie i widziałem takie hale (w NRD, Wiedniu, Pradze i Moskwie), a niektóre z nich były budowane w tym samym roku, co nasza...

Pyta pan, co bym zrobił dla sportu, mając do dyspozycji miliony złotych z Totka. Jako przyjaciel młodzieży — wybudowałbym całą masę boisk — szkolnych, przyblokowych, podwórkowych, zamieniłbym na boiska każdy leżący odlegiem skrawek ziemi. Widzę, jak młodzież i dzieci łakną sportu, jak się duszą w murach skazani na przymusową bezczynność. Kluby wszystkich chętnych nie przegramy, a chętnych jest dużo, bardzo dużo. Więc serce mi się kraje patrząc, jak pod moim domem młodzież ćwiczy gimnastykę na drążkach do trzepania

Bielizny, jak kopią nieśmiało piłkę, z lękiem, żeby nie powybijają okien.

STEFAN ROGALA
(DZIAŁACZ ŁKS)

Najbardziej potrzebne jest Łodzi drugie sztuczne lodowisko. Łódzka Hala nie może pomieścić wszystkich wyczynowców — łyżwiarzy i hokeistów, a także licznej rzeszy amatorów zimowego sportu. Ba, pomieścić... W grafiku Hali trudno znaleźć choćby jedną wolną minutę — od rana do nocy, dzień po dniu trwają zajęcia, jedni poganiają drugich, toczy się nieustanna walka o plac. Jeśli chcemy osiągnąć dobre wyniki w sporcie wyczynowym oraz przyciągnąć do sportów zimowych młodzież — musimy za wszelką cenę postarać się o jeszcze jedno lodowisko.

Zgadzam się także z opinią, że stanowczo za mało posiadamy w Łodzi basenów pływackich. Każda dzielnica powinna mieć co najmniej dwa baseny — to mogłoby w znacznej mierze zaspokoić pragnienie wody, na które cierpi większość łódzian.

Co do imprez sportowych... nie uważam, aby było ich tak mało. Często odbywają się w Łodzi międzynarodowe mecze bokserskie, wraz z rozbudową trybuny ŁKS przybędzie zapewne interesują-

cych spotkań piłkarskich. Jeśli chodzi o Memoriał Janusza Kusocińskiego, to muszę powiedzieć, że do nas bezpośrednio nikt się w tej sprawie nie zgłosił, choć i tak nie byłibyśmy w stanie zagwarantować tej poważnej imprezie odpowiedniej oprawy. Trwały w tym czasie roboty na bieżni, a po za tym brak u nas odpowiedniego zaplecza — szatni, natrysków, toalet itp.

Na pytanie, co bym zrobił dla sportu mając do dyspozycji 137 milionów złotych z Totolotki, odpowiedzieć nie mogę, gdyż nigdy takiej kwoty mieć nie będę i nie wierzę, aby rzeczywiście tak potężna suma pieniędzy gdzieś się zawieruszyła. Mówi pan, że jest to część pieniędzy, które łódzianie wpłacili do łódzkiego Totalizatora i która nie wróciła do naszego miasta, ani w postaci wygranych, ani w formie sportowych inwestycji. Nie wierzę. Jestem przekonany, że pieniądze te Totalizator sportowy przeznaczył na konserwację i remonty łódzkich obiektów sportowych, bo pieniądze pochłaniają nie tylko nowe obiekty ale i stare.

WACŁAW LATOCHA — (ZAWODNIK KS „WŁOKNIARZ”)

Przydałby się Łodzi nowy tor kolarski. Ten w Helenowie jest niezły, ale ma zbyt mały kąt nachylenia: około trzydziestu dwóch

WŁADYSŁAW KRÓL
(TRENER ŁKS)

Był kilkanaście lat temu projekt wybudowania w Łodzi, w okolicach radiostacji, stadionu na 70 tys. osób. O projekcie tym zdążyliśmy już zapomnieć i nieprędko chyba sobie przypomnimy. Więc zostaje rzeczywistość: stadion ŁKS, który na pewno jeszcze przez długie lata będzie reprezentacyjnym dla miasta obiektem. Przyjrzyjmy się teraz stadionowi. Słaba nawierzchnia boiska, brak zaplecza — szatni, toalet, urządzeń treningowych, budowa trybuny wlecz się a wlecz (zgodnie z grafiką ukończymy ją z końcem 1968 roku), brak odpowiednich wejść i wjazdów, co powoduje w czasie każdego meczu liczne kolizje — zatory, korki. Zdarzają się nieszczęśliwe wypadki (pewnie dlatego omija nas Wyścig Pokoju). Powiadam: zdani jesteśmy na stadion ŁKS, więc sprawą pierwszorzędną powinno być jego uporządkowanie — modyfikacja, rozbudowa, aby choć trochę przypominał nowe stadiony w Poznaniu (75 tys.), na Śląsku (105 tys.), w Warszawie (100 tys.).



Z WYSTAWY FOTOGRAFIKI STUDENTÓW PWSTF

Fot. — Ruppen Vosguimoroukian

Szanowny

Panie

Redaktorze

Szalenie lubię jeździć, proszę Pana, bo wtedy świat stoi otworem i wydaje się jeszcze do wzięcia.

Od samego już rana jesień waliła w październikowe tam tany, gdy cichutko podjechała „Warszawa” i przez okienko wychyliły się szatańskie jak rude płomienie wąchy i zaraz za nimi czarne błyszczące oczy miłego pana kierowcy. Zapytał: „No to gdzie jadziem, szefie?” — „Przed siebie!” — i już wypadliśmy z miasta. — A zza lasu wyłaziło słońce jak byk na niebieską taką jezorem wyłaziło do czysta błękit z obłoków i przyziemnych mgieł i wolnulkim kroczkiem idąc ze wschodu na zachód wyjadało powoli śnieżkę czasu.

I jesień za wzgórzami dudniła w bęben, a my goniliśmy ją po asfaltowych drogach. I za każdym razem, gdy wydawało się, że już ją dopadamy w sadzie, lesie czy drzewach, jesień umykała niepostrzeżenie za następna górę, rzuciła po drodze czerwone jabłka na przynęty i znowu bębniła, wodząc nas po rozdrożach: grała z nami w ciuchubabkę — w babie lato.

I tak ciągle ganiając minęliśmy Łask, Zduńską Wolę i dopadliśmy do Sieradza — bo ciągle nam się wydawało, że jesień właśnie wtedy przed nami ucieka. I tak zatrzymaliśmy się przed Sieradzkim Muzeum, bo podobno tam się schroniła.

Ala przed Muzeum było cicho i spokojnie; — wróble tylko jak tłuste pierogi milcząco furkotały i czepiały się cienkich gałązek, wypasione na słonecznej pogodzie. Weszliśmy do środka — ale jesień też tam nie było; — za to była wystawa sieradzkiego kowalstwa ludowego.

Trzeba przyznać proszę Pana, że wystawa bardzo ładna, dużo przedmiotów kutech ręcznie z żelaza, jakieś ozdobne zawiasy, zamki, okucia wozów, dowcipne tasaki w kształcie zwierzątek, klucze — nawet wielki mechanizm zegarowy z wieży kościoła: — czysta kowalska robota — No i ten lewarek do rwania zębów — czysta radość!

Kustosze Muzeum, pani Neuman, opowiadała, że to wystawa pokonkursowa; że na

Konkursie było mnóstwo ludzi — nawet z Warszawy — i że warszawiakom bardzo się ten lewarek podobał i zamówili sobie trochę takich. że potem stary kowal, który z tymi lewarkami wojował zapytał Pani Kustosza jak tyko goście odjechali, czy nie zechciałaby też mieć takiego lewarka, jeśli ma takie życzenie, to jej chętnie sprzeda. I w tajemnicy zwierzył się Pani Kustoszu, że oprócz kucia koni i ozdobnych wozów rwie także od czasu do czasu zęby babom na wsi; — ale już coraz rzadziej, bo baby wolą rwać w mieście u dentysty, prawdziwy fach kowalski zaczyna — nie po-

wiem żeby upadać — ale się chwiać jak dziurawy ząb starej gospodyni — co ja mówię chwiać — fach kowalski zaczyna się dopiero rozwijać, a że przy tym zęby rwie, to jeszcze niczego złego nie do wodzi.

Na wystawie była moc tęż kowalskiej roboty, jak kraty, świeczniki, ozdobne wytłuki, klamry i zasieki do okien, jeszcze Pani Kustosze mówiła, że wieś się bogaci, buduje sobie bardzo brzydkie murowane domy ze szlamy, do których zamawia u kowali wiejskich bardzo piękne kraty i inne rzeczy z żelaza, które świadczą o możliwości gospodarza.

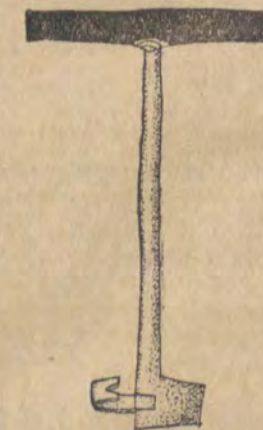
— I że ludziom wiejskim, nie wystarczają już nylony, ani szarpane czuprynki, ani telewizory, ani auta, lodówki czy tranzystory! — teraz bogatsi ludzie więcej zamawiają sztukę — ręczną kowalską robotę; że na wsi w dobrym tonie jest mieć jakąś ręczną artystyczną robotkę; — taką aby sąsiada szlag trafił z zazdrości.

— Pierwszorzędnie to zabrzmiało, proszę Pana! — mecenasem sztuki zaczyna się stawać wiejski bogaty lud! — I że wreszcie Ministerstwo Kultury i Sztuki odpocznie trochę od mecenasowania.

Pani Kustosze bardzo się z tego cieszyła i pożegnaliśmy się z wielkim optymizmem; i na ostatek wpisałem się w Księgę Pamiątkową i jeszcze raz obejrzałem kowalstwo i dedykuję Panu, proszę Pana, rysunek tego lewarka — ażeby, gdy Pana ząb zabołi, albo co inne w Redakcji, miał go na względzie.

Z Muzeum wyszliśmy na jasny dzień, gdzie znowu wróble podskakiwały od niechęci na ziemi i omal nie przewracały się z przejeżdżania.

— I posłaliśmy sobie — bo nie było warto jechać ulicą Kolegiacką pod Farą na ulicę Partyzantów, gdzie robi dzbanki, garnki i dwójczaki pięknie glazurowane pan Muszyński i pan Pertkiewicz; — ten znowu biskwitowe miski i naczynia z czerwonej gliny



Lewarek do rwania zębów

malowane w białe paski i wężyki.

— Obydwa ludowi garnce — rze całą gębą! — Nawet w Ludowej Sztuce o nich jest napisane!

Obydwa bardzo weseli, chociaż już od półwieka Sieradzki Urząd Finansowy chce im dopłacić. Za co?

— A bo to, kto tak naprawdę zmiarkował urzędników, o co im chodzi? — Urząd i tyle! Prawo swoje ma i papierki, i stempelki, i koperty, i gońców, i znaczki pocztowe — więc porządek musi być — i sama nawet



Łask

stopni — przez to samo nie należy do najbardziej niebezpiecznych i nie stwarza odpowiednich warunków treningowych tym zawodnikom, którzy reprezentują Polskę za granicą na torach o nachyleniu czterech do pięciu stopni. Szkoda, że przy przebudowywaniu helenowskiego toru nikt nie pomyślał o tej, jakże ważnej dla nas zmianie kąta.

Nie najlepiej jest także z helenowskim zapleczem — kabiny przypominają raczej sutereny — wilgotne, bez okien, wykluczające dobry odpoczynek i masaż; w takich pomieszczeniach niszczeje nie tylko człowiek ale i sprzęt... Często ćwiczymy razem z łucznikami. Oni nam przeszkadzają — my im. Ale strach po naszej stronie. Niejeden kolarz modli się w duchu, żeby nie przerwała mu kariery jakaś zablakana strzała.

Brak w Łodzi urozmaiconych imprez torowych w silnej, międzynarodowej obsadzie. Szkoda. Wielu ludzi nie ma w ogóle pojęcia jak pięknym i atrakcyjnym widowiskiem mogą być kolarskie zawody. Powinniśmy w tym względzie brać przykład z Duńczyków, organizować czterogodzinne wyścigi w najrozmaitszych konkurencjach (nie tylko tych, które wchodzą w repertuar Mistrzostw Świata czy Olimpiady), przepłacać wysiłki występami zespołów estradowych i muzycznych.

Za pieniądze, o których pan mówi, kupilibyśmy Hali Sportowej przy zwoity tor kolarski, co umożliwiłoby nam, a także szosowcom, treningi i starty w zimie. Tor taki chcieli sprzedać nam Niemcy, bodajże za dwieście tysięcy złotych. Ten wydatek w minimalnym stopniu uszczupliłby zawrotną kwotę 137 milionów, której resztą nie odważyłbym się dysponować. Niechby to lepiej zrobił za mnie jakiś mądry i uczciwy działacz.

DR MED. JAN WOJDECKI
(ORDYNATOR ODDZIAŁU GINEKOLOGICZNEGO SZPITALA IM. HELENY WOLF)

Mając na uwadze harmonijny rozwój sportu we wszystkich dzielnicach Łodzi — jestem za niezwłocznym wybudowaniem stadionu na Chojnach, które pozbawiłoby się takiego obiektu. Jeśli już inwestować — to rozsądnie, więc może właśnie na Chojnach wybudować reprezentacyjny dla miasta stadion na 70-80 tys. miejsc?

Inną bolączką Łodzi jest brak krytycznych i otwartych basenów. Uważam, że w każdej dzielnicy powinny być co najmniej dwie pływalnie, otwarte szeroko nie tylko dla kadry, ale każdego, kto tylko ma ochotę uprawiać ten sport.

Z atrakcyjnych imprez najbardziej odczuwam brak zawodów lekkoatletycznych. Złe! Jestem pewien, że gdyby częściej gościł w Łodzi wielki mistrzowie bieżni i skoczni — przyciągnęliby do tego pięknego sportu niezliczone rzesze młodzieży. Korzyść byłaby ogromna, gdyż nie tak dobrze i

tak wszechstronnie nie rozwija młodego organizmu, jak racjonalnie uprawiana lekkoatletyka. Chciałbym tu na marginesie dodać, że sport robi się u nas sztuką elitarną, dostępną tylko nielicznym. Ot, chodzę czasami z moim dziesięcioletnim synem na różne łódzkie stadiony, chcę żeby chłopiec trochę pobiegał, poskakał... nie bardzo to wychodzi... za wodnicy, także gospodarze stadionów patrzą na nas ze złością, jak byśmy robili coś zdrożnego. Widać — nikomu nie leży na sercu, aby lekkoatletykę uprawiała młodzież, aby wśród tych najmłodszych szukać nowych talentów.

Gdybym miał 137 milionów złotych, które jak się z oburzeniem dowiaduję: wyszły z naszych kieszeni aby nie wrócić — wybudowałbym przy wszystkich szkołach podstawowych, średnich i wyższych dobrze wyposażone boiska, aby młode dziewczęta i chłopcy jak najczęściej przebywali na powietrzu, i w ruchu, i aby nie było — co się niepokojąco często spotyka, młodzieży skarlałej i chromej.

MAJOR RYSZARD ŁOMNICKI
(PREZES KS „GWARDIA”)

Baseny i jeszcze raz baseny! Dla zdrowia i bezpieczeństwa, z którym wiąże się nauka pływania, dla sportu masowego i dla sukcesów w sporcie wyczynowym. Proszę zauważyć, że latem, nawet na najbardziej odległych krańcach miasta, gdzie z trudem docierają autobusy i tramwaje — jest przerażający tłok... ludzie wędrują za wodą kilka, czasem kilkanaście kilometrów, pełno ich nad brzegami wąskich stawów i grząskich lepiank. Nie zrobię odkrycia, jeżeli powiem, że po pracy w dusznych biurach i fabrykach — relaks na plaży i w wodzie jest dla człowieka najlepszą formą wypoczynku, rekreacji. Brak nam także sal gimnastycznych. W mojej sali z trudem znajduje się czas i miejsce dla wyczynowców, a co począć z amatorami? Jest ich bardzo dużo, ale najczęściej muszą wystąpić przed zamkniętymi drzwiami.

W „Gwardii” wiodącą sekcję stanowią bokserzy; piłka nożna dotyczy nas w minimalnym stopniu, lecz jako kibic, jako obiektywny obserwator — odnoszę wrażenie, że najbardziej brakuje Łodzi poważnych, międzypaństwowych imprez piłkarskich. Sądzę, że wynika to nie tyle z niedostatku stadionu ŁKS, co z niewłaściwej, może nawet niesprawdliwej polityki centralnych władz sportowych. Pomijają się potrzeby Łodzi w stosunku do stolicy, Śląska czy Wrocławia. A przecież Łódź jest miastem „piłkarskim”, właśnie piłka nożna ma u nas największą ilość wielbicieli.

Gdybym posiadał 137 milionów z Totolotki — przeznaczyłbym te pieniądze na budowę wielkich stadionów-kombinatów (boiska, bieżnia, pływalnia, korty, strzelnica itp.). Niechby taki kombinat miała każda dzielnica ku rozwojowi masowego sportu.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie oznacz znakem plus (+) dział, który Cię interesuje, i który uważasz za dobrze redagowane. Znakem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o łaskawe uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych a redakcja pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelskie		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię									
wiek									
zawód									
adres									

Pani Kustosz, pod opieką której znajdują się ludowi artyści nic tu nie poradzi.

— Ale Pan Muszyński przywykł do tego, nie przejmując się, jest wesoły, kręci garniec kółko i opowiada przedko bez przerwy — tak jak jego kółeczko. Cieszy się, że wybudował sobie nowy piec pod dachem i jest zadowolony, że nie musi siedzieć na deszczu czy wietrze podczas wypatu, jest wesoły także dlatego, że pół wieku urzędowych papierków nauczył go urzędowego odpowiadania tak, że jest teraz podwójnym fachowcem: od ceramiki ludowej i od papieroplastyki.

— Potem wsiadliśmy z miłym wścizem do „Warszawy” i jak jacy panowie z prywatnej inicjatywy — obiadowali ciężką forsa, z odpowiednimi minami — gęstymi od dolarów — wjechaliśmy na dziedziniec Przyszań na Warcie. Od razu zaczęto nam się przyglądać, a my trzasnęliśmy dobitnie drzwiami wozu, godnym krokiem, jak szanując się posiadacze ciężkich budyli wsiadliśmy po schodkach na górę, odmie-razając z godnością stopień za stopniem.

— Z tarasu zeszliśmy nad Wartę i przez most drewniany na piaszczysty brzeg. — Chodziliśmy pod wierzbami rosnącymi na piasku i podziwialiśmy Przyszań.

— Czyściutka o tej porze roku, wymięcioną ze śmieci, papierów i butelek; — nawet ludzi tu nie było z wyjątkiem jednej młodej pani, która zadumana siedziała nad wodą.

— Doprawdy! — można pogratulować Sieradzowi takiej Przyszań!

— Bardzo nam się tutaj podobało i nie przejmując się zbytnio jesienią, która widać że przestąpiła się nią interesować dawała coraz bardziej rozpaczliwe znaki, że jest tuż tuż — tylko ręką sięgnąć — za zakrętem ale my już weszliśmy do wnętrza — do restauracji i zamówiliśmy prawdziwie polski przysmak: schaboszczaka z kapustą!

Podawała nam bardzo ładną panią o pięknej, miedzianej fryzurze (a może to jesień odmłodziła, przybrała panią wygląd przybiegłą z Wart do naszego stołu?) — tak śliczna, że miły pan Kierowca nie mógł spokojnie skonsumować bez przerwy, tylko patrzył bez przerwy na śliczną, bez przerwy przetykał sline i szatańskie wąsy czerwieniał mu coraz bardziej.

A gdy przyszło do płacenia rachunku, panią licząc pieniążki pokazała obrączkę na palcu — ale panu Kierowcy wcale wąsy nie zbłądziły z tego powodu — prze- ciwnie — nabrały troszkę in-

tenzywniejszego odcienia. — I gdy odeszliśmy od stołki długo się jeszcze na nią oglądał błyszczącym, wściekłym okiem. A na to wszystko nasza śliczna poprawiła fryzurę przed wsiadaniem do restauracji.

Zaprawdę! — Przyszań może pogratulować sobie takiej pani!

— I pan Kierowca zapuszczając już motor warknął: „Ja tu jeszcze wrócę!” i przez całą powrotną drogę milczał jak najęty i dodawał ciągle gazu, i gwałtownie, że lecieliśmy już chyba pięćsetką na godzinę aż do drzwiczki i ok-

na wozu się rozściągali jak że „Warszawa” to wóz starobosny.

— A niebieska łaka biała coraz bardziej, tylko byk czerwieniał coraz mocniej i wreszcie uwalnił się na samym zachodzie i stając się zury- czającym, obżartym woleł już przeżuwać dzień od po- czątku.

— A my wpadliśmy w neo- nowe światła Piotrkowskiej, i tak się dzień skończył — bez polny — bo nie udało nam się uchwycić jesieni.

Łączę wyrazy szacunku
WACŁAW KONDEK



Sieradz — ul. Kolegiacka

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

Dyplomata w Wieluniu i Radomiu w 1474 r.

W numerze „Odgłosów” z 15 stycznia 1967 r. Michał Kuna przypomniał dzieje sławnego ognia landshuckiego wesela (1475) i poinformował o odbywających się w Lands-hut widowiskach, stanowią- cych turystyczną atrakcję o- raz przypomnienie epizodu z tych lepszych nie wojennych stosunków polsko-niemieckich w dawnych wiekach. Mało komu jednak wiadomo, że o- wym właśnie sławnym uro- czystościom zawdzięczamy nie tylko jeden z nielicznych, po- chodzących z tej epoki, spi- sów potraw, ale i zapomnia- ną relację z podróży po Pol- sce.

Znalazła się ona w liście biskupa Ratzbyony Henryka III de Absberg (zm. 1492) wy- słanym z Poznania 11 stycz- nia 1475 r. do dwóch rätz- bönskich kanoników i zacho- wana jest w jednej ze współ- czesnych kronik niemieckich. Biskup Henryk był jednym z posłów wysłanych przez dołnobawarskiego księcia Lud- wika do Polski. Zabiegał on o reke Jadwigi, córki króla Kazimierza Jagiellończyka, dla syna Ludwikowego — mło- dego księcia Jerzego. Po po- myślnym zakończeniu pertrak- tacji, już w drodze powrotnej, chwycił nasz biskup za pióro, aby skreślić pełne dow- cipu pismo będące najzupeł- niej nieoficjalnym sprawoz- daniem z jego przygód w Pol- sce. List dotyczy po części biskupich nam stron i chociaż autor nie zawsze podaje naz- wy miejscowości, przez które przejeżdżał, z łatwością uzupełnimy je w oparciu o źródła polskie.

Po krótkim pozdrowieniu obu kanoników biskup Hen- ryk przystępuje do swej o- powieści. „Wielekroć pragne- liśmy już powiadomić was o pomyślnym przebiegu na- szych i innych spraw, musie- liśmy jednak tego poniechać dla braku okazji; nigdy bo- wiem do tych odległych stron nie zbaczali ku nam żadni wysłañcy książąt czy kup- ców. Z ochotą jednak opi- szemy wam przygodę, jak- kie nas spotkały i któreś- my spotkali w tym sławnym królestwie, lecz byłoby nam przykro, gdybyście poznaw- szy nasze dzieje nie okazali nam żadnego współczucia, a jedynie się roześmieli. Nie chcemy jednak dla takiego powodu was zaniedbać, pragn-ąc was nielicznych pobudzić do śmiechu”. Następuje teraz opis podróży.

„Z konieczności uprawiamy enotę, bowiem choć zakon- nego sposobu życia jak naj- mniej się trzymamy, teraz jest on przez nas dokładnie zachowywany. Znajdowaliśmy się więc przez cały ten czas pod dobrą obediencją. Nigdzie nie było łóżka ni miejsca spoczynku nie w domu pry- watnym, zaś wszystkim za- spianiem służyła podłoga o- gólnej sali, ze skapo wydzie- lana słoma zamiast łożnicy. Spały tem pospolu i młode dziecięta, by im mroz nie wy- rzadził szkody. I tak to wzo- rzone było nam miękko po- śłanie i zaprawde używalim- my worów, jako że nie mie- liśmy podłojnych prześciera- del. Napojem zaś naszym by- ło nie inne jak piwo; wino najrzadziej się zdarzało...”

Sarkastyczny to opis ale po- cieszały się, że biskup Hen- ryk nie był ani pierwszym, ani ostatnim, który narzekał na nasze „hotelarstwo”. O i- kich to stronach Polski tu mowa? Wyjaśnią to dalszy ciąg listu, z którego dowia- dujemy się, że w czasie zanim nastąpiło zawieszenie broni pomiędzy królami Polski i

Węgier (XI-XII 1474) — „sta- liśmy w pewnej miejscowości w największej nudzie przez osiem tygodni i parę dni, gdzie bezzwłocznie wielu po- chłonięła zaraza” — z poseł- stwa nikt jednak nie ucie- rpił. Chodzi tu o Wieluń — wszelkie złudzenia rozwiewa Długosz, całkowicie potwier- dzający informację biskupa Henryka. Nasz poseł nie mó- wił nic o swym pierwszym spotkaniu z władcą Polski w Łęczycy i przechodzi od razu do oficjalnej audyencji, któ- ra miała miejsce „w mie- ście Radomiu, które leży 130 mil od Ratzbyony. Jeszcze jednak przed postuchaniem wszystko, co się tyczyło spra- wy umowy małżeńskiej jak i posagu oraz wiana a tak- że wspaniałości wesela i in- nych zostało prywatnie usta- lone przez Królewską Wyso- kość i nas”.

Po audyencji, która odbyła się 29 grudnia 1474 r. w obec- ności wielu dostojników któ- rych nasz autor wymienia, „król od razu nam odpowie- dział, że godzi się oddać swo- ją najstarszą córkę Jadwigę sławnemu księciu, panu Je- rzemu”. Wyraziła też zgodę królowa, „Dnia następnego u- zyskaliśmy też zgodę i panny, która wszystko to co zostało postanowione przez najdostoj- niejszego władcę i króla jej łaskawego pana i ojca oraz przez najdostojniejszą królo- wę i matkę w obecności mo- narchini, biskupa i innych potwierdziła i umocniła i pra- gnie mieć go (tj. ks. Jerzego) za małżonka. Potem jak naj- szybciej sporządzony został dokument”.

Akt ten dobrze znamy — wystawiono go w Radomiu dnia 31 grudnia 1474 r.; ze strony polskiej pertraktację opisał Długosz. Biskup Hen- ryk powiada jeszcze o pożeg- naniu pary monarszej i da- rach, jakie postawili otrzymali — były to nadzwyczaj cenne wówczas szuby. Na zakoń- czenie życzyliwie dodaje: „Ow- król jest jak najuprzejmiejszy i okazywał nam wiele szaczy- tów. Najdostojniejsza panna, nasza narzeczona, jest piękna i wytworna”. Władca Polski niejednokrotnie spotykał się z najwyższym szanowaniem róż- nych dyplomatów, podróżni- ków i innych ludzi, którzy doń przybywali. O Jadwidze, już po przybyciu do Niemiec, inny autor niemiecki powie, że „gdy przywdzieje strój niemiecki, będzie wyglądała bardzo wspaniale”.

Droga powrotna wiodła po- stów przez Poznań i dalej, najprawdopodobniej przez Międzyrzecz starym szlakiem na Niemcy. Polska królowa gotowała się do uroczystych zaślubin, które miały zaćnić cały ówczesny feudalny świat. Kto mógł przewidzieć, że bę- dzie to początek bardzo smut- nego dalszego jej życia...

Szczury

W listopadzie

(FRAGMENTY)

Pamięci E. A. Poe'go

Pana Kaina Sanfildskiego poznałem w czasie mojego ostatniego pobytu w Odessie. Było to w listopadzie... 63... Pan Kain Sanfildski przebywał już długo w Odessie. Próbuje odpocząć, powiedział mi, ale człowiek nie może odpocząć, tylko próbować. I ja także przyjechałem, żeby odpocząć. Lekarz doradził mi podróż. Nie jest wykluczone, powiedział mi, że ataki będą się od czasu do czasu powtarzać, może i z większą siłą niż dotychczas, lecz pan je przetrzyma, musi pan. Miał rację. Ponieważ zawsze dziwiłem się nieudolności lekarzy, którzy nie potrafili zapobiec jakimś chorobom, wykorzystując do tego całą swą wiedzę i umiejętności. Pragnąłem najpierw wyjechać do jakiegoś nieznanego mi miasta, zapuścić się w coś takiego, co jest odkrywaniem nowego piękna. Przyczyny, które skłaniały mnie do tego kroku, były, przynajmniej silne, ale zmieniłem tę niewczesną decyzję i postanowiłem pojechać nie wiem już, który raz do Odessy, wznawiając sobie, że dla mnie jest to najlepsze, a i najłatwiejsze, nie wspominając o koczowniczym smakowaniu dobrze znanych rzeczy i potwierdzaniu odkrytego już piękna. Szczęśliwy, że znowu jestem w Odessie, w mieście tak bardzo mi drogim, zatrzymałem się jak zwykle w hotelu „Ukraina”, w hotelu bardzo wytwornym, z wspaniałym widokiem na morze. Kilka pierwszych dni po przybyciu spędziłem na długich spacerach wzdłuż morskiego brzegu, dość bezwzględnie, przynajmniej, wdychając pospolicie chwalony „zapach morza”, i na oglądaniu drogich miejsc, które, jak stwierdziłem, były wciąż takie same, co napełniało mnie niemiym zadowoleniem. W kilka dni potem poznałem pana Kaina Sanfildskiego. Tego popołudnia, zgodnie ze swym stałym przyzwyczajeniem, siedziałem sam na tarasie hotelu i milcząco opróżniałem kieliszki. Taras był cały ze szkła, i to sprawiło, że czułem się jak w zamkniętej przestrzeni. Pograżyłem się w głębokim milczeniu, objęły mnie wspomnienia. Spoglądałem na morze, otwierało się przede mną spokojne i wzdęte mgłą. Było niezwykle cicho, a ja z trwogą oczekiwałem nastania zmroku, aby w jego zmetnianej szarości dostrzec niedoścignioną piękność morza. Jednakże pragnąłem bardziej odkryć piękno zmroku. Kończył się dzień, zmrok stwarzał się z doświadczeniem z jego resztek. Siedziałem w milczeniu, gdyż wobec całego tego piękna należało zachować milczenie. Wówczas zjawił się pan Charles B., bardzo ceniony poeta, mój stary przyjaciel. Towarzyszył mu jakiś pan, którego nie znam. Podeszli i pan Charles B. przedstawił mi pana Kaina Sanfildskiego. Przywitał się ze mną szybko i zrecznie, i obaj przysiedli się do mnie. Siedzieliśmy milcząc aż do nastania zupełnej ciemności. Rozpoczęliśmy jedną z tych dyskusji, które prowadziły ludzi, mający wiele czasu i do brzo obznajmieni z regułami konwersacji. Daruję sobie opisywanie pana Kaina Sanfildskiego z jednej prostej przyczyny. Otóż pan Kain Sanfildski był człowiekiem, którego żadne słowa nie są w stanie opisać. Mogłicie zadać sobie nie tyle jakiegoś trud, aby określić jakiś cechę jego charakteru, lecz jego głos, jego oczy, rozmowy, które prowadziły, sposób ubierania się, palenia papierosów, poeci, których podziwiał, malarze, których obrazy kupował za bajoniskie sumy, wirtuozów, na których koncerty uczęszczał, pilnie zważając, by się nie spóźnić, to wszystko i inne jeszcze rzeczy były niewyrażalne. Ale nie mnie nie uderzyło w jego zachowaniu. To, co odkryłem, nie miało większego znaczenia, toteż ograniczę się do domysłów. W toku rozmowy napomknął dwoma-trzema krótkimi zdaniem o swoich kłopotach z policją. W rozmowie poruszyliśmy i zagadnienie metod policji w rozstrzyganiu pewnych przypadków, i ten fragment rozmowy zakończyliśmy tak jak i pozostałe: zgodziliśmy się co do tego, że są i mądre policjanci i mądre przestępcy. Wówczas to pan Kain Sanfildski opowiedział mi o swoich kłopotach z policją. Zawsze byłem ogromnie ciekaw podobnych opowieści. Powiedział mi tylko tyle, że był oskarżony o zabójstwo swego brata. I dopowiedział, natychmiast, pomijając wszystkie badania, śledztwa i oskarżenia, przeskoczyć wiec to wszystko i powiem, iż w końcu pan Kain Sanfildski został uniewinniony z braku dowodów. A już nie opowiem panu o strasznych nocach, i dniach. Pan Kain Sanfildski zamilkł nagle. Wiem, ciągnął dalej, ja wiem, że weźma mnie znowu, nie zrezygnuję tak łatwo, będą szukać, rozgrzebywać przeszłość, będą się trudzić, by mnie dobić, tak jest. Następnie, podniósłszy się i pożegnawszy z nami, powiedział: Z góry przepraszam, że nie będę mógł jutro towarzyszyć panom, ale — teraz spojrzaj na mnie — ale teraz mam pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, załatwie ją do godziny 19 i będzie mi niezmiernie miło, jeśli zobaczysz pana jutro o 20 w moim domu. Wtedy opowiem panu te historie, która pan, jak wi-

dze, jest bardzo zaintrygowany. Zapropomowałem Charlesowi B., by zaszedł jutro do niego razem ze mną, gdyż będzie miał okazję, jak mówił pan Kain Sanfildski śmiejąc się, potykać się ponownie z tym wymienionym winem w Besarabii, które tylekroć już niefortunnie niszczyło, lecz Charles B. odmówił z żalem. Przyjąłem zaproszenie, zapewniając, że w każdym razie przyjdę. Zaproszenie pana Kaina Sanfildskiego rozbudziło we mnie stare przyzwyczajenie nawracania do pierwszych wrażeń, jakie odnoszę w zetknięciu z nowymi ludźmi. Odkryłem coś w zachowaniu pana Kaina Sanfildskiego, coś, co mi dawało prawo do myślenia, że on, pan Kain Sanfildski, mimo iż pochodził z bardzo znanej rodziny, która wydała szereg wybitnych ludzi, nie był jakoś najszcześliwiej urodzonym potomkiem. Ale pan Kain Sanfildski nie był temu winien ani nie odpowiadał za to, jeżeli wina, już sama w sobie, nie pociąga za sobą pewnej odpowiedzialności. To coś, co odkryłem, przejawiało się w jego powściągliwości, graniczącej z postawą budzącą odrazę, która jednocześnie niebawem pociągała. Nazajutrz wieczorem (był 8 listopada), udałem się w stronę domu pana Kaina Sanfildskiego. Pan Kain Sanfildski odnajmował od lat przestronny dom na Moldawce, w dzielnicy bardzo dziwnej. Ilekroć w czasie mych częstych odwiedzin Odessy zdarzyło mi się wtedy przechodzić, chwytając mnie jakiś strach, ale nie zważając na to, chodzącem do tej dzielnicy, ja to bardzo chętnie, i muszę od razu powiedzieć, że byłem bezgranicznie nieszcześliwy, gdy nie mógł w czasie swych codziennych przedpołudniowych spacerów choćby raz przejść się ta częścią miasta. Nie słyszałem nawet odgłosów własnych kroków, a moje serce, moje serce zazwyczaj tak głośne, że czułem jego uderzenia aż w gardle, uspokoiło się zupełnie, toteż przykładałem rękę do ciała, badając czy bije. Całkowicie odurzony, poniekąd i oszukany, zadzwoniłem do drzwi domu pana Kaina Sanfildskiego. Otworzył mi osobiście pan Kain Sanfildski. Odebrał moje rzeczy, po czym powiedział: proszę tedy, proszę pana. Dostrzegłszy me niezdeterminowanie dodał: niech pan idzie za mną, proszę pana. Poszedłem za nim. Nie zwracałem uwagi na pokoje, które mijaliśmy, ani na ich umeblowanie. Atoli wierzę, że nie było powodu powatpiewać w smak pana Kaina Sanfildskiego. Wiedziałem bowiem, że jeśli rozglądne się po pokojach, zobaczę meble w różnych stylach, od mebli nazwanych imieniem wielkiego króla Ludwika, do ciężkich sprętów z debiny i orzechy, czyż zapach, mam na myśli — zapach orzechy, czułem albo, może mi się tylko tak zdawało. Gdybym powiedział więcej uwagi, dostrzegłbym na ścianach obrazy znanych mistrzów, a piękna owych dzieł nie pokrył nawet mrok tych komnat; wydaje mi się, że w jednej z nich zobaczyłem „Skowronka” Van Gogha, skapanego w słońcu, i przysiadłbym, że słyszałem jego pieśń, widziałem falowanie żyta, nad którym się unosił; i łagodny szum dotykających się kłosew, ale wszystko to, i brzośnie, i kołysanie, przetwarzało się w rozpacz ich twórcy. I to stało się i moja rozpacz, bowiem nieuniknione podążanie za panem Kainem Sanfildskim odwoziło mnie od spokojnej kontemplacji, od przeżywania świata tak mi bliskiego. Ale przyrzekłem sobie zdecydowanie, że gdy nadarzy się pierwsza okazja, wybiorę się w pola, by słyszeć to brzośnie, widzieć kołysanie zboża i odczuć wspaniałą siłę słońca na swym ciele. Lecz ten mój zachwyt nagle przysnął, gdyż przypomniałem sobie nazwisko pana Kaina, i od razu miałem dość nasłonecznionych pól. W mroku tych pomieszczeń, w tym mroku, który, oczywiście, odpowiadał porażonemu zmysłom pana Kaina Sanfildskiego, człowiek zmuszony jest myśleć o czymś zupełnie przeciwnym, jeżeli ma na to siłę. Ponieważ mógł on przebywać w ciągu dnia tylko w mroku swych pokoiów, gdy było nieco więcej światła, odczuwał nieznośny gwar zewnętrznego świata, gwar, który przyprowadził go o lek, tak jak innych przeraża absolutna cisza. Pan Kain Sanfildski doceniał piękno świata, ale jedynie po zachodzie słońca. Zadawałem sobie pytanie, w mroku jego mieszkania, dlaczego pozostawał na ścianach te obrazy, przecież ich jasne kolory przywoływały to uczucie, którego się tak lekiał. Prawdopodobnie chciał z pomocą tych obrazów wynagrodzić sobie to, co było mu zabronione, a za czym tęsknił, tak jak wielu chorym zabrania się spożywania pewnych potraw a oni pożądać ich, przekonani, iż właśnie one by im pomogły. Mówiłem sobie, może on wcale nie tęsknił za tym. Idąc w milczeniu za nim, patrzyłem w jego potylicę. Powstrzymałem się, by jej nie roztrząsać. Wreszcie w jednym pokoju rzekł: No, tutaj będziemy mogli porozmawiać. Rozsiadł się w fotelu, chwycił za kieliszek i drżącymi rękoma przypalił papierosa. Po zwyczajowych pytańach o zdrowie i pogodę, pograżyliśmy się w głębokie milczenie, delectując się trunkiem i mocnym tytoniem. Pokój tonał w półmroku, tylko z jednego źródła światła padały na nas łagodne promienie. Nie potrafiliśmy odkryć tego źródła. Zresztą nie wydawało mi się szczególnie ważne. Pan Kain Sanfildski pochylił się ku mnie. W każdym razie pragnie pan, powiedział, usłyszeć historie o mym bracie, prawda? Tak, proszę pana, odrzekłem. Mój ojciec, rozpoczął pan Kain Sanfildski, był bardzo bogatym człowiekiem, był jednym z najbardziej znanych bankierów. Miał swe banki w Moskwie, Londynie, w Paryżu, Wasyngtonie... W sumie piętnaście banków w najważniejszych miastach świata. Pieniąsze znakomicie pracujących banków. Znaczenie powiększył swe bogactwo przez ożenek. Jego matka pochodziła ze sławnej rodziny Czerjomuchinowych, myśle zresztą, mój panie, że to nazwisko nie jest panu obce. Otóż moja matka urodziła bliźniaki, mnie i mojego brata Awelejo. Tymczasem pewnego dnia moi rodzice zaginęli w bardzo osobliwych okolicznościach. W tym cza-

nie nie byłem z nimi. Odbywałem podróż po Bałkanach. Byłem właśnie w owym mieście słynnym z Wieży Czaszek. I muszę panu powiedzieć, mój panie, że ta Wieża to zaiste okropny pomnik. W tym właśnie mieście odebrałem list brata. Wzywał mnie, abym natychmiast powrócił. Powróciłem, Brat opowiedział mi pokrótce o tym, co się stało przed kilkoma dniami; powiedział, mi, że ojciec z matką wybrali się powozem na spacer. Ponieważ w zwykłym czasie nie zjawili się na kolacji, brat, przeczuwając jakieś nieszczęście, zawiadomił policję. Nie odnaleziono ich do mego powrotu. Ale i ja nie przyznaję się do rozwiązania tajemnicy. Wszystkie poszukiwania okazały się daremne. I nigdy nie odnaleziono moich rodziców. Pan Kain Sanfildski zamilkł, nagle. Nie przerywałem jego milczenia. Milczeliśmy, paliliśmy i bardzo często oglądaliśmy suche dno naszych kieliszków. Tymczasem, ciągnął dalej pan Kain Sanfildski, tymczasem mój brat, w przeciwnieństwie do mnie, nie był szczególnie dotknięty tym nieszczęściem. Oni już nie żyją, powtarzał, oni nie żyją, na coś zda się rozpacz. Pan Kain Sanfildski zamilkł, nagle. Dochodziły do mnie dziwne odgłosy, nie potrafiłem jednak ich rozpoznać. Sądziłem, że zerwał się wrzask wiatr i buszuje wśród galezi przepięknych drzew w ogrodzie. Jednakże jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że się mylę. W tym zresztą momencie podjął swą opowieść pan Kain Sanfildski. Naturalnie, ciągnął dalej, ja i mój brat byliśmy jedynymi spadkobiercami. Odnależliśmy ogromną sumę pieniędzy i majątek. Zamieszkaaliśmy razem. Nie myśleliśmy o ożenku, uważając, iż na to zawsze jest czas. Ale w dziesięć lat po zaginięciu naszych rodziców, zaginał w równie osobliwych okolicznościach mój brat. Tak samo jak ojciec i matka przed dziesięć laty, wybrał się on powozem na spacer. Ponieważ o zwykłej porze nie zjawił się na kolacji, nauczony gorzkim doświadczeniem, zawiadomiłem policję. Jednakże wszystkie poszukiwania, podobnie jak poprzednio, nie przyniosły rezultatu. Nigdy nie odnaleziono mego brata. Pan Kain Sanfildski zamilkł, nagle. Dzwonne odgłosy, które już wcześniej słyszałem, powtórzyły się znowu, chociaż przypuszczam, że nie ustają ani na chwilę, tylko ja, zajęty opowiadaniem pana Kaina Sanfildskiego, nie zwróciłem na nie po prostu uwagi. Odtąd zaczęły się moje kłopoty, powiedział. Aresztowano mnie pod zarzutem, mówiąc ogólnie, usunięcia mego brata w celu zagarnięcia całego majątku. Oskarżono mnie, że go zamordowałem. Ale ja go nie zabiłem, nie, czy pan pojmuje, ja go nie zabiłem. Pan Kain Sanfildski zamilkł, nagle. Po czym coś wymamrotał. Że grozą zrozumiałem to słowo: nigdy. W mroku tego pokoju widziałem twarz pana Kaina Sanfildskiego. Dzwonne odgłosy pojawiły się znowu. Stwierdziłem, że nie dochodzą z zewnątrz, lecz gdzieś z głębi domu, z jego podziemi. Zdało mi się, że słyszę coś jakby ludzki śmiech, przechodzący w ryk. Nie, już mi się nie zdawało. Teraz byłem pewien. Głęboko przy fundamentach tego domu ktoś śmiał się niesamowicie. Po czym ustawał śmiech i rozlegał się płacz, przerywany, i gorzki. Ogarnęła mnie panika. Pan Kain Sanfildski uważył mi się przypatrywać. Ledwie powstrzymałem się, by nie skoczyć na niego. W przestrachu skonstratowałem teraz, że to śmieją się dwie osoby, śmieją się z mego przerażenia. Pańska matka i pański ojciec, powiedziałem panu Kainowi Sanfildskiemu, pański ojciec i pańska matka? Ich imiona... Pan Kain Sanfildski parsknął śmiechem. Pokój wypełnił się jego niesamowitym śmiechem. Adam i Ewa, powiedział mi, dawaj się od śmiechu, Adam i Ewa, zgadł pan. A potem zamilkł, nagle. Śmiech z głębokości znowu dał się słyszeć. Tym razem był potrójny, rozróżniałem dokładnie każdy z tych głosów, każdy był tak inny. Oni śmiali się w głębokościach tego domu. Powiedziałem: oni, czyż mogłem inaczej ich określić? Nagle pan Kain Sanfildski skoczył i ryknął: Oni się śmieją! Oni się śmieją! Czy pan słyszy. Tak, pan ich słyszy, ja wiem, że pan słyszy ich śmiech, śmiech tych niewdzięczników! Pan Kain Sanfildski zamilkł, nagle. Niech pan idzie, powiedział pan Kain Sanfildski, niech pan idzie za mną, pokaże panu to, na dole w piwnicy, niech pan idzie. A potem dodał: a więc pojedziemy powozem na spacer. Zadrżałem. Pan Kain Sanfildski parsknął śmiechem: dziś mija właśnie dziesięć lat od zaginięcia mego brata. Śmiejąc się na cały głos, ruszył przed siebie, włączając lampę. Parsknawszy śmiechem, poszedłem za nim. Dopóki mijaliśmy pokoje, śmialiśmy się na cały głos. Doszliśmy wkrótce do jednych drzwi i on mi powiedział: no, za tymi drzwiami, na dole, pan zobaczy, dalej, niech pan otwiera. Mówiąc to, wyciągnął klucz z kieszeni i podał mi go. Przekręciłem klucz i stanąłem. Nie, nie bałem się, strach mi jest obcy. Czekałem, żeby pan Kain Sanfildski poszedł pierwszy. Otworzył drzwi. Mrok, nieprzenikniony mrok wyrósł przede mną. Targnęły mna chłód i zepsute powietrze. Do tego jeszcze ciężki zaduch. Wyjaśnił mi, że gdzieś w dole natknę się na jego źródło. Obejrzałem schody, prowadziły w dół, w nieprzenikniony mrok. Pan Kain Sanfildski zaczął schodzić. Szedłem za nim, tchórzliwie odważny. Pan Kain Sanfildski uniósł rękę i zamachnął się. Usłyszałem tepe uderzenie i coś odbiło się od jego nogi. Niech pan uważa, powiedział, niech pan uważa, inaczej pożałuje pana. Zanim zdążyłem się zapytać o cokolwiek, coś, a raczej ktoś wepchnął się zębami w mój but. Przyzwyczaiłem się już do mroku. Coś białego, siwego z powodu mroku, znajdowało się obok mego nogi. Zobaczyłem z przestraceniem, że było to szczury. Ale nie szczury, jakie znamy. Te były ogromne, wielkości kotów. Silnie potrzęsana noga, ale nie puściły. Niech pan przydepnie, powiedział pan Kain Sanfildski, niech pan przydepnie, bo inaczej pożałuje pana. Uniostem wolną nogę i stanąłem na ich ciatach. Tratowałem, ale nie puszczały, wreszcie jeden oderwał się i runął w dół schodów. Drugi był wytrwał

szy. Kopałem go, ale zapamiętałem wgrzyzł się zębami w mój but. Wrzynał się, próbując odgryźć kawałek buta. W końcu stanąłem na jego czasce i zmiażdżyłem ją. Ośwobodziłem nogę. Poszedłem dalej w dół schodów. Nauczony już doświadczeniem, wiedziałem, jak się bronić. Następnego szczura, który ruszył na mnie, przywitałem silnym kopnięciem i odrzuciłem w tył. Im schodziłem niżej, tym większy czułem smród. Ostre zapachy amoniaku drażniły mnie coraz bardziej. Piekły mnie oczy, twarz miałem zwilżoną łzami. Zapach padliny przyprawiał mnie o zawrót głowy, ledwie trzymałem się na nogach. Obawiałem się, że zemdleję. Ale wciąż nas atakowały szczury i strach przywracał mi świadomość. Oczekiwała mnie wszakże nowa jeszcze niespodzianka, która jeszcze bardziej mnie przeraziła. Mianowicie, że ogromna większość szczurów, które parły na nas, omijała pana Kaina Sanfildskiego, rzucając się wyłącznie na mnie. Te, które atakowały pana Kaina Sanfildskiego, były znacznie mniejsze od pozostałych, wykryłem, że są to młode szczury. Znacząco to, powiedziałem sobie, to znaczy, że stare szczury go rozpoznają i boją się go, nie pojawiają się tu widocznie po raz pierwszy. Były ich dziesiątki, ale ostrzeżone czy spłoszone mogły zdecydowaną obroną, wycofały się. Schody były bardzo długie, przysiadłbym, że było co najmniej sto stopni. Wreszcie skończyło się schodzenie. Znaleźliśmy się w jakimś pomieszczeniu, jak było obszerne, wskazywało na to echo naszych kroków. Było chłodno, a zaduch nieznośny. Ale szybko przywykłem do tego smrodu, ponieważ nie ma takiego smrodu, do którego człowiek by się nie przyzwyczaił, i to bardzo szybko. Na wprost w ścianie dostrzegłem jakieś drzwi. Na nich zawieszona była ogromna krata. Dziesiątki, setki szczurów było wokół nas. I ta biała gęstwa wściekle się kreśliła wkoło, jaryły się ich ślepa i rozlegał się wściekły skowyt. Rozzuchwała się, powiedział mi pan Kain Sanfildski, nabiora odwagi i przystąpią do ataku, niech pan nie zwodzi ich chwilowe tchórzostwo. Skowyczały żałośnie, wydając takie dźwięki, od których mi serce zamierało, a ślina nie mogła przejść przez gardło. Niech pan się zbliży, rzekł pan Kain Sanfildski, niech się pan zbliży, co panu pokaże. I parsknawszy śmiechem odrzucił kratę z drzwi. Otworzył je i ja parsknąłem śmiechem. Jedna kobieta i dwóch mężczyzn, siedząc w fotelach, żarli szczury, każdy obgryzał jednego. Gryzonie pisały z przestracenia. Nie był to już wściekły skowyt, lecz przestraszony popiskiwanie. Oni nie zwracali na nas uwagi. Spożywali posiłek. I wierzę, że żaden człowiek nie uczuciłby nigdy w tak straszliwej uczucie. Oto, rzekł do mnie pan Kain Sanfildski, oto przychodzą do nich z wizytą przez tę dziurę w drzwiach, przychodzą, by być pożarte. Obejrzałem tę dziurę i żałowałem, że nie była większa. Oni się ich boją, powiedział pan Kain Sanfildski, tak, szczury się ich boją, ale pana się nie boją. A potem, kładąc mi rękę po przyjacielsku na ramieniu, powiedział, ale pan nie potrzebuje jechać na spacer powozem, pan może teraz zaraz... Nie skończył, parsknął śmiechem. Wstrząśnięty, pchnąłem go i pobiegłem do drzwi. Zatrzasnąłem je i założyłem kratę. Pan Kain Sanfildski zawył spoza drzwi. Usłyszałem śmiech tamtych trojga. Szczury rzuciły się na mnie. Pośpieszyłem ku schodom, deptając po nich. Ale wróciła im odwaga, i widząc, że uciekam, zaatakowały mnie z zaciętością. Wbiły zęby w moje buty, wieszały się na nogawkach spodni. Ostroimi kłami rozrywały wszystko na mnie. Dziesiątki skoczyły mi na plecy i piersi. Jeden chwycił mnie za gardło, a ja ryknąłem. Chwyciłem go za szyję, chcąc mu się zrewanżować i dopiero gdy zaczął się dusić, puściłem go. Przy samych schodach zaplałałem się i padłem. Rzuciło się na mnie całe mrowie. Leżałem na ziemi i wyłem. Szczury pokryły mnie zupełnie. Leżałem i wyłem, rozdzając rany. Ale nie zdało się to na wiele. Wówczas podjąłem decyzję: w pierwszego szczura, który mi się nawinie, zarzyję się zębami. Oddawałem im ja samą miarką. Zapach mego krwi rozbudził tę białą gęstwę, i te, które nie mogły mnie dopaść, rozpoczęły między sobą porachunki. Nie dawały sobie pardonu. Podniosłem się, mając na sobie potworny ciężar, jaki żaden człowiek nigdy nie dźwigał. Wyłem, tratując te na dole, te za mną, i z nieczłowiekiem wysiłkiem i z wściekłością, czując nieznośny ból, ciskałem je o bliska ściany. Pozostałe szczury rzuciły się na nie i wykończyły je. Ich piekielny skowyt, powiększony moim przedśmiertnym wrzaskiem, odjeżdżał stokrotnym echem. Towarzyszył temu straszliwy chichot spoza tych drzwi, które mogły się stać i drzwiami mego grobu. I z tym niesamowitym ciężarem wspinałem się po schodach. Dobrze! Drzwi i otworzyłem. Jakby się stał cud! Opuściły mnie naraz wszystkie szczury i trwożliwie pisać, na łeb na szyję puściły się w dół, w mrok. Zdyszany, ślaniając się, operowałem się o drzwi. Zamknawszy je, ścisnąłem klucz mocno w garści, pobiegłem przez pokój tego straszego domu. Wyszedłem na dwór i stanąłem oniemiały. Światło. Znacząco to, powiedziałem do siebie, znaczy to, że przebywałem w tym domu całą noc. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, jak spędziłem noc. Słońce miało dopiero wzejść, ale nie miałem siły, by czekać na nie i by je pozdrowić. Uciekałem, uciekałem z Odessy. Teraz jestem w swoim miescie, we własnym pokoju. Nie ponawiając się ataki. Czas spędzam, patrząc na Wieżę Czaszek. Widzę ją ze swego okna. Znajduje się ona w moim miescie. Dobrze jest być w swym miescie. Ale wiem, że dziesięć lat powrócę do Odessy. Mam tam pewną sprawę do załatwienia.

Przełożył z serbo-chorwackiego:

STANISŁAW KASZYŃSKI

*) od ang. sun fields.

Z warsztatu łódzkich filologów

Mało kto wie, że przy Uniwersytecie Łódzkim istnieje Katedra Filologii Romantycznej. Od lat patronuje jej znakomita uczona, badaczka zarazem wypróbowany przyjaciel młodzieży, prof. dr Stefania Skwarczyńska. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego przewiduje reaktywizację tej Katedry pod względem dydaktycznym; obecnie jednak jako placówka naukowa pełni funkcje pomocniczo-dydaktyczne przy polonistyce. Zbiory książkowe Katedry, ulokowane w pomieszczeniach Katedry Teorii Literatury, są pokaźne i stwarzają wystarczającą podstawę do natychmiastowego rozpoczęcia pracy dydaktycznej. Jednakże brak odpowiedniego zespołu pracowników naukowych nie pozwala jeszcze w chwili obecnej na wznowienie pełnej działalności tej placówki. Warto zaznaczyć, że energiczne starania władz Uniwersytetu Łódzkiego zmierzające do usunięcia tych przeszkód nie stanowią tylko próby formalnego wypełnienia luki w organizmie Wydziału Filologicznego UL, są przede wszystkim dyktowane koniecznością zaspokojenia zapotrzebowania społecznego naszego miasta i województwa.

Katedra Filologii Romantycznej ma obecnie tylko jednego stałego pracownika w osobie adiunkta dra Kazimierza Kupisza, zajmującego się głównie historią literatury francuskiej XVII wieku. Nazwisko utalentowanego i sumiennego romanisty zyskał K. Kupisz na podstawie licznych publikacji w kraju i za granicą oraz na podstawie swojej obszernej dysertacji doktorskiej, liczącej aż 715 stron maszynopisu, poświęconej twórczości Luizy Labe („Luiza Labe na tle swojej epoki — zarys monograficzny”). Piękna powroźniczka ze szkoły

lyońskiej znalazła w K. Kupiszu badacza, który potrafił przedstawić poetkę w zasadniczo nowym świetle.

Właściwa ludzima „tendencja do tworzenia legendy” i ludzka „leniwa skłonność do symplifikacji, połączone z niemiłą ludzka miłością do sensacyjnego dreszczyka”, opłoty imię lyońskiej poetki tak gęstą siecią romansowej plotki, że osobowość poetki i jej twórczość uległy przykrym zniekształceniom. Zdaniem K. Kupisza Luiza Labe była przede wszystkim w pełni rozwiniętą osobowością kobiecą o renesansowym stosunku do życia. Przyglądając się jej roli kurtyzany nie znajdujemy w niej niczego poważniejszego motywacji.

Analiza twórczości Luizy Labe rzuca na rozprawie na szerokie tło porównawcze pozwalające na właściwych proporcjach widzieć zagadnienie domniemych i rzeczywistych wpływów literackich, którym poetka ulegała. O jednym można przy tym z całkowitą pewnością twierdzić, że na wszystkich utworach wyśnęła swoje pełne osobowość poetki. Umiejętność zespelenia uczuciowych wybuchów z koronkową manipulacją wirtuozą przemawia za przyznaniem również jej sonetom pełnej oryginalności na tle utworów poetek XVII wieku.

Utwory Luizy Labe są w tym samym stopniu wynikiem warsztatowych zmagani literackich, co i wyrazem przeżytych doświadczeń. Odkrywane dotychczas u poetki „zależności” są takim samym mitem, jak twierdzenie, że dominantą jej charakteru była zmysłowość. Jej poezje nie ustępują najwyższym osiągnięciom mistrzów Plejady, a od ich niezdolnych potknięć oddzielają ją swoją ludzką prawą i przewagą tonu. Związana ściśle ze swoją epoką była Luiza Labe równocześnie pionierką nowożytnego liryzmu.

Obszerna bibliografia Luizy Labe jak i bibliografia dysertacji wskazują, że K. Kupisz nie tylko całą literaturę naukową dotyczącą poetki i najważniejszymi pracami dotyczącymi renesansu francuskiego i pozafrancuskiego, ale także licznymi tekstami z literatury francuskiej, włoskiej, polskiej i niemieckiej.

W sumie skonstruował autor dysertacji przekonującą mo-
we obrońca i „wnosi” — jak

pisze prof. St. Skwarczyńska w swojej wnikliwej recenzji „wobec sądu historii nie tylko o uwolnienie poetki jako kobiety od postawionych przez legendę — plotkę zarzutów, ale tym zarzutem przeciwstawia niemal apoteozę”.

Tłumaczami poezji Luizy Labe byli m. in. Rilke i Staff. Rozprawy i książki o tej poetce mówiące są liczne. Mamy przykłady tego także w języku polskim (Wł. Kopeczyński, St. Koczorowski) jednakże rozprawą K. Kupisza jest najobszerniejsza z dotychczasowych.

Warto zauważyć, że w czasie swego dwukrotnego długoterminowego pobytu naukowego za granicą wygłosił K. Kupisz szereg odczytów, m. in. w „Institut Slave” w Paryżu (Wydział Uniwersytetu w Sorbonie), w konsulacie polskim w Lyonie, w „Institut Universitaire Orientale” — Institut di Linqua a Letteratura Francese w Neapolu — ten ostatni na zaproszenie prof. Enzo Giudici. Tematem odczytów były głównie problemy związane z literaturą francuską XVI wieku, jak również przypomnienie zasług Boya — Zelenieckiego dla literatury francuskiej w Polsce.

Z okazji Dni Polskich zorganizowanych na Uniwersytecie Lyońskim dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego wysunął K. Kupisz inicjatywę nawiązania stosunków kulturalnych Łodzi z Lyonem. Warto również dodać, że K. Kupisz był w kontakcie z P. Cazin'em, który żywo interesował się pracą naukową łódzkiego filologa.

Pocziwy stary Dickens

Charles Dickens. Jego wiara w dobro natury człowieka jest nie tyle sugestywna i porywająca co wzruszająca. Szczególnie to typ wzruszenia. Czujemy się jak działawa oszłamona bombkami, gwiazdkami, łańcuchami i sztucznymi ogniami pod cholewką. Przed nami prezenty gwiazdkowe, bo wszyscy nas kochają, a nade wszystko aniołki. My też wszystkich kochamy, nawet zreda cienie i nauczycieli rachunków. I chociaż po kryjomu oglądamy atlas anatomiczny, to teraz jesteśmy skłonni uwierzyć w bożana i zwycięstwo aniołków nad diabłem.

Wszystcy są tacy dobrzy. My również, tylko ten jeden szatan. Wzruszenie ścisła gardła, pokój pachnie żywica — świat jest kregiem słonecznym, a gdzieś tam za kłaniami ciemności która się w tej chwili nie liczy, przynajmniej dla nas.

— Prawda i miłość odnosią zwycięstwo nad wszelkim złem. Prawda i miłość mają większą potęgę, niż największe zło i największa niedola świata — mówi Dickens.

W to trzeba uwierzyć, ale pogmatwanie doświadczeń tkwi w nas poplątane i gdy zgłębiamy w swej ufnej dobroliwych refleksy baniek i sztucznych ogni wiara w zwycięstwo archaioła nad potęgą szatana, wraca w krainę mitów, a sen rzeczywisty odbija się komplikacją.

„Świerszcz za kominem” Charlesa Dickensa, to „gwiazd kowa” sztuka. Dostajemy w prezencie coś, na co nie potrafimy zasłużyć nawet w trakcie trwania spektaklu. Wszystko tu dzieje się jakby na niby i nasze wzruszenie jest poniekąd na niby, wobec czego przekonanie o potęgę miłości i zwycięstwo prawdy dostajemy gratis. Nie kiwnęliśmy nawet palcem

przeciwko temu Tackletonowi, którego bardzo plastycznie i przekonująco odegrał Eugeniusz Kamiński, bowiem postać ta obdarzona wszelkimi „nieładzkimi” cechami tak różni się od innych na scenie, że nie wydaje się realna — przypomina raczej Babcie Jagę, wilka czy smoka z bajek — toteż i los jej jest przesadzony.

W ten sposób emocjonalne zaangażowanie dorosłego widza w rzeczywistość kreowaną na deskach scenicznych nie jest większe niż przy oglądaniu teatru kukiełek.

Latwo wpadł w tej opowieści o ludziach bez skazy i miłości bez zmaży w rzewny nastrój szlachetności. Wojciech Piłarski z trudem unika „odautentycznienia” tego co nie pozwala zapomnieć widzowi, że dobry John jest grany.

Zasługą Dickensa jest, że Tilly w swej dziecinnej infantylności mogła być dobrze zagrana przez Elżbietę Starostecką, która nie poddała się ekliwiczności scenarii.

I pora oddać sprawiedliwość autorowi „Świerszcza za kominem”. Operując bielą i skrawkiem czerni (Tackleton) w charakterystyzowaniu postaci, potrafił nawet tak uboga gamę zróżnicować fakturalnie. Toteż postacie dramatu żyją i mają wnętrze.

Kropeczka, młodzieńca żona Johna, budzi sympatie swoimi przejawami życia nie tylko, że jest czysta; również, że jest czysto grana przez Wandę Chwiłkowską.

Poza tym Dickens mimo, że nie wciąga widza w swój dyskurs o miłości i potęgę dobra a nie może wciągać, gdyż niczego nie argumentuje ani filozoficznie ani dramaturgicznie, ten przecież wybitny pisarz przykuwa naszą uwagę, bowiem potrafi wpleść w swoją agilkę dość zreżymowaną pomyślaną intrygę.

Bogusław Mach, to ten tajemniczy młody Nieznajomy który wydał się zburzyć szczęście Johna i Kropeczki, a nam wiarę w miłość i dobro. Ten młody Nieznajomy jest osobą intrygi, która w końcu okaże się nieporozumieniem i niewinną grą, a obróci również przeciw osamotnionemu złu w osobie fabrykanta Tackletona.

Ten Tackleton ma rzeczywiste zły charakter, który przejawia głównie w krzywdzeniu Kadeba niezwykle wzruszającej postaci dramatu, w interpretacji Stanisława Lapińskiego.

W duecie Stanisław Lapiński — Mirosława Małudzińska było parę scen ścisłających gardła. Może tylko, gdy gmach naszych wyobrażeń i marzeń o życiu wali się nagle, może wtedy bardziej widoczny jest wstrząs jaki przeżywamy?

Miarę szlachetności dopełnia młoda May (Róża Czaplewsk), która w końcu woli miłość niż pieniądze. Nawet jej matka Pani Fieldine (Janina Jabłonowska) odrzucił po kuse zła i zgodziła się na związek z miłością.

Jak było do przewidzenia zło zostało pokonane, a triumfowała prawda i miłość. Osiągnął to Dickens w bar dzo nieskomplikowany sposób. Po prostu nie wdawał się w kłopotliwe rozmowy ze złem i nie dopuścił go do głosu a tylko napiętnował, mając niezachwianą przekonanie, że dobro i tak całkowicie ostatecznie zwycięży. Scenografia dobrze współgrała z całością.

„Świerszcz za kominem” Charlesa Dickensa. Teatr Nowy (Mała Sala) — reżyseria: Tadeusz Byrski. Scenografia: Irena Burke.



Z WYSTAWY FOTOGRAFIKI STUDENTÓW PWSTF

Fot. — Rousen Vosgutmoroukian

SPEKTAKLE tygodnia

NOWY — „Świerszcz za kominem”			
„Blacharz burmistrzem”	5	spektakli	2500 widzów 70%
„Śluby panieńskie”	1	„	430 „ 60%
— „Skiz”	1	„	560 „ 80%
— „Skiz”	4	„	720 „ 90%
MAŁA SALA — „Szklana menażeria”	2	„	360 „ 90%
POWSZECHNY — „Nocna spowiedź”	3	„	1910 „ 97%
— „Tango”	2	„	1320 „ 100%
— „Mocne uderzenie”	1	„	540 „ 92%
JARACZA (MDK) — „Przełom”	4	„	2444 „ 96%
ZAS — „Paryżanin”	5	„	1790 „ 82%

O WIERZACH Antoniego Kasprowicza

Każdy obeznany z dziełami nowszej literatury spostrzeże, iż dwoistość światopoglądowa nie jest niczym nowym, a właściwa już była modernizmowi, choćby Kasprowicza imiennikowi z Szymborzą. Przeciwnością uczuć i pojęć — gdzie w neoromantyzmie, gdzie w Młodej Polsce jej nie spotkać. Dlatego w przeciecinym odczuciu sfer literackich Antoni Kasprowicz jest tradycyjnym poetą. Ale to nieprawda.

Przed wszystkim w poezji modernistycznej zawsze była dominanta, przeważnie mistyczna. Wiersz miał wyrażać coś nieokreślonego, nastrojowego, jakakolwiek tajemnicę bytu, i temu celowi wszystko inne było podporządkowane. Antoni Kasprowiczowi o to nie chodzi. On przedstawia zwyczajnie różne strony różnej ciężkiej współczesnej świadomości. Jeśli u poety mo-

dernistycznego była ambiwalencja, to z odczucia psychicznego przekształcał ją w sprzeczność filozoficzną. Poeta nie mówił tylko: odczuwam i to, i to lecz dodawał — w tym coś musi być. Poeta modernistyczny wspinał się na palce, Kasprowicz jest naturalny. Modernizm miał poczucie schyłkowości, jękał się kałastrofą określonego świata, Kasprowicz pisze swój tomik w czasie, gdy schyłek ten i katastrofa już się dokonują. Dlatego nie musi przewidywać wartości, on jest świadkiem tych, które się zachowały. W odróżnieniu od Jana Kasprowicza nie musi płacić haraczem za awans kulturalny mistycyzmowi ani katolickiemu personalizmowi, nie musi — jak poprzednicy — opatować mieszczanek czytelnika słownictwem zaczerpniętym od teozofów. Jeśli Antoni Kaspro-

wicz jest poniekąd mistykiem, to nie dlatego, że wymagają tego „natury wyższe”, lecz dlatego, że każdy ulega w części podmiotom mistycznym, bo każdemu grozi wyobcowanie lecz jak długo utrzymuje kontakt ze społecznością, to podmioty te w końcu eliminuje. Dlatego też „tradycyjne” cechy poezji neoromantycznej, jej ambiwalencja i przeciwności pojęć nabierają we współczesnych warunkach cech jakościowych. Ta nowa jakość polega na bardziej równorzędym rozprawieniu różnorodnych elementów treściowych i wersyfikacyjnych w lirycę, na jej homogenizowaniu. Dzięki temu wiersz uwolniony od dominacji mistycznych i od koturnowości twórców, może stać się bardziej masowy, a poezja — bardziej demokratyczna.

I choć na przykład o „W mroku gwiazd” Micińskiego do „W ciemni Oriona” Kasprowicza można by poprosić, że widać, która by to była kłaczka — kwestia tradycji i nowoczesności nie przedstawia się dziś zupełnie prosto. Modernizm istotnie tworzył kulturę, która miała wiele cech dzisiejszej kultury masowej — nie mniej jednak sytuował ją na nadmiernych „wyznaniach”. Poetę, mówiliśmy już, była skreślana ambicjami filozoficznymi i więcej nawet — dążnością by dawać namiaszki wzruszeń religijnych. Trzeba było szeroko pojętej

laicyzacji, aby odrzucić filozoficzne i mistyczne zagadki poezji modernistycznej, tak aby odwoływała się ona do potoku świadomości w naszej psychice, nie zaś do naszych irracjonalnych reakcji w momentach kryzysu. Otóż owa skrepowana poezja modernistycznej, jej rebusowość, a więc to, co najbardziej przebrzmiało — przeleli dziś nas „nowocześni”. Skrepowany w modernizmie — albo u takich twórców jak Miciński prekursorski — psychologizm kontynuują „tradycjonalisci” w rodzaju Antoniego Kasprowicza. Obliczony na ewokowanie homogenicznych, wyrównanych i ujednoliconych w masie odczuć i doznań członków współczesnego społeczeństwa, psychologizm ten stał się nową jakościową i ma w poezji szanse przywrócić jej walory masowości. Nie darmo skamandryci odrzucili szlafaz filozoficzny Młodej Polski i nie przypadkiem tak wiele ich reminiscencji jest u Kasprowicza.

Ma on szczególne dane, by stworzyć — choćby na razie nie w pełni docenione — zadatki nowoczesnej masowej poezji homogenicznej. Na skutek swego awansu kulturalnego, a pamiętamy że zaczął swoją twórczość jako wyraziciel doznań miejskich warstw robotniczych, nie jest obciążony nawykami poetyckiej koturnowości. Rozwija się w czasach gdy awansu takiego nie opłacało się już

skrajnymi ustępstwami na rzecz postaw religijnych czy heretycznych nieraz — mistycznych. Jednocześnie ów awans czynił go dostatecznie otwartym na różnorodność zjawisk kulturowych, by mógł ich przyswojone elementy odpowiednio pomieścić w dojrzałej już poezji obrachowanej na zapotrzebowanie dojrzałego społeczeństwa masowego. Iskra talentu dokonała reszty. Ta iskra nie istnieje w instytucjach, które rozprowadzają dobrą kulturę niemniej trwa u twórców i to sprawia, że nowej homogenicznej poezji masowej — jakta niewątpliwie nadejdzie — nie musimy się obawiać. Ten jeden cytat:

A kiedy zagubiony w górach w kanionie pomezozoicznym wytopił ślad(y) głożaury wśród śladów zwierząt archaicznych, zapiasz na wąskim marginesie, zdumiony paleontologu: Na szlaku w nawarstwieńm lessie prócz zwierząt nie spotkałem bogów (...).”
poświadczy, że już teraz nie jest ona pozbawiona formalnych i treściowych walorów.

Antoni Kasprowicz: „W ciemni Oriona”. Łódź, 1967r., Wyd. Łódzkie, str. 54, cena zł. 10.-

O różnorodności dróg festiwalowych i łódzkich akcentach na IV Bydgoskim Festiwalu Muzyki Polskiej

PANIE REDAKTORZE!

Zanim wyluszcze Panu powody, dla których z kilku różnych możliwości „jesiennych” wybrałem właśnie Bydgoszcz z jej IV Festiwalu Muzyki Polskiej, pragnę podzielić się z Panem kilkoma niepokojącymi mnie myślami, wysłutymi z lektury zagranicznych czasopism muzycznych. Coraz częściej mówi się w nich o kryzysie, a nawet inflacji festiwalu, szuka się przyczyn tych zjawisk, niekiedy zaprzeczając istnienie, czasami gromi organizatorów, pomawiając ich o kompletnie wyschnięcie fantazji w zakresie koncepcji czy wręcz o komercjalizację — najpiękniejszej ze sztuk — muzyki. Wprawdzie do niedawna ruch festiwalowy w Polsce, przynajmniej w zakresie muzyki, nie budził jeszcze żadnych obaw odnośnie liczebności tego rodzaju imprez, lecz dziś, po okrzepnięciu inicjatywy Wrocławia, Poznania, Bydgoszczy nie wspominając już zgola o stołecznych festiwalach, w których nute opolskich i sopockich, a także kilku typowo lokalnych przedsięwzięć, śmiało można rzec, iż docieramy — i to nie tylko ilościowo — do ogólnoeuropejskiego standardu w tym zakresie. Nie od rzeczy więc będzie niejako antycypacyjnie przesłuchiwać myśli nurtujące te festiwale, które w zakresie festiwalu miałyby być pewne rysy czy wręcz odzwierciedlać jako znamiona o kryzysowym charakterze. Głównie ściślejsze trzeba wyraźnie podkreślić, że nie brak w Europie głosów, iż mimo mnogości się ilości festiwalu i widocznej gęstości ich koncepcyjnej sztafki, mowa o kryzysie w tej dziedzinie jest defektyzującą przesadą.

Nie próbując rozstrzygać kto tu ma rację, stwierdzam jednak musimy, że organizatorzy wielkość festiwalu nie traktowali na te pesymistyczne głosy w sposób dość charakterystyczny: oto poczęli do ich programów włączać coś specyficznego, coś co pozwolił poszczególnym festiwalom wyróżniać się spośród pozostałych. Niekiedy owym czynnikiem stała się wiska specjałizacja nie tyle w zakresie wyboru określonego odcinka czasowego (choć nie brak i takich koncepcji, że wspomnę choćby „Jesień Warszawską”, ambicją której jest przedstawianie aktualnych wydarzeń w muzyce XX wieku) ile często monograficznie ujmowanego gatunku. Dądo to w rezultacie okrzepnięcia jednego festiwalu, a więc tych, które znalazły już ów specyficzny czynnik, lub zmusiło inne do rewizji swych dotychczasowych założeń w celu jak najszybszego znalezienia tego. Tak więc np. Pergolę, raczy świat muzyką religijną, Salzburg po dłuższych pertrubach

ecjch wraca do ortodoksyjnych tradycji mozartowskich, a Monachium koncentruje się na straussowskiej operze z jej stylowymi przyległościami. Bliska nam zza miedzy „Praska wiosna” ciągle jeszcze szuka nawiązań do siebie formy, zaskakując niekiedy prezentacją pozycji mocno już ogranych w normalnym ruchu koncertowym. Pomijając odrębny gatunek festiwalu, wykonawczych (np. Casals, będący prawdziwą parą gwiazd wirtuozowskich) możemy z grubszą stwierdzić istnienie dwu głównych dróg, po których dąży ich organizatorzy: jedna z nich prowadzi do produkowania rzeczy uznanych już jako wielkie, drugą do przedstawiania aktualnie zachodzących zjawisk niejako reportażowo, bez formułowania własnej oceny. Nawiasem muszę dodać, że poglądy, iż w tym drugim wypadku nie zachodzi żadne wartościowanie, wydaje mi się złudnym. Sąd swój opieram na tym, że utwory wystawiane na badz co bądź wielkiej imprezie, jaka jest każdy festiwal, podpierane są w osadzie opinii publicznej wysokim autorytetem festiwalu, choćby wała na to nie zasługiwały. Z drugiej zaś strony obiektywnie wartościowe po życie mogą — stając w jednym szeregu z mierzotami — nie zostać należycie wyeksponowane. Argumentacja powyższa zasadza się jednak na postulatcie, że jest niedostatecznym muzykalnym masowego odbiorcy, jakim przecież w znacznej mierze, jest słuchacz koncertów festiwalowych. Tak więc metoda przegladowego wysypywania z jednego worka, w sposób żywiołowy (zapewne w swej „czystej” postaci, bez jakiegokolwiek selekcji nigdzie nie stosowana) byłaby wadliwa: za utopię należałoby też uznać stawianie wszystkiego na „nieomylny instynkt” mas w wyborze prawdziwych wartości. Tym bardziej, że i autorytety najwyższe, tj. krytyka artystyczna, nie zawsze ujawnia posiadanie tego prędko przysypanego masom waloru...

Zapewne w trosce o pomost nad alegoryczną przepaścią wie lu organizatorów festiwalu o brało konfrontację z innymi, przewodnią ich programu. Ta stosunkowo nowa, lecz o pozytywności festiwalowej konfrontacji „nowego” ze „starym” znalazła zastosowanie w dopiero co zakończonym IV-tym Festiwalu Muzyki Polskiej w Bydgoszczy. Naocznie przekonanie, że jak to wyglądała w realizacji praktycznej, wydało mi się zadaniem nad wyraz wdzięcznym i to jeden z głównych powodów mego wyjazdu do grodu nad Brdą. Były bowiem i inne, wśród których nie najmniej ważnym stał się udział w nim łódzian, zarówno znakomitych solistów jak i pięknie rozwijającego się zespołu „Pro Musica”. Tak więc i festiwal bydgoski, dotąd bazyjący głównie na muzyce polskiej, nie młodziej niż z wieku XVIII,

uśledź wspomnianym już wyżej tendencjom reformistycznym, a jak to „wyszło” — opowiem... Na samym wstępie zjawisko jak na praktykę festiwalową niezwykle rzadkie: przesłane na wiele tygodni naprzód zapowiedzi programowe, obejmujące terminy, repertuar, zestaw imprez towarzyszących etc., etc., w realizacji nie zostały ani, na jotę naruszone! Trzy koncerty symfoniczne, pięć kameralnych i dwa posiedzenia sesji naukowej Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego poświęconej muzyce polskiej — oto zasada pion festiwalu, i to wszystko w ciągu jednego tygodnia w ośrodku miejskim, pod względem ilości mieszkańców trzykrotnie od Łodzi mniejszym! A co ważniejsze: pełna widownia na każdym koncercie! Pole do socjologiczno-muzycznych badań niezwykle atrakcyjne...

Już program inauguracyjnego koncertu (8 września) sygnalizował słuchaczom nowe credo organizatorów: wydobywał z zapomnianej starsze polskie kompozycje, z drugiej zaś strony frontował je osiągnięciami współczesnymi. Tak więc piecioletnie przygotowania Orkiestra Filharmonii Pomorskiej, kierowana przez znanego łódzianina Zbigniewa Chwedećkę, zaprezentowała słuchaczom niedawno odnalezioną w ZSSR „Uwerturę” D-dur Karola Lipińskiego i pyszną w swej bogatej kolorystyce instrumentalnej i logicznej konstrukcji formalnej „IV Symfonię” Gracyna Bacewicz. Było rzeczą na prawdę interesującą poznać polskiego rywalu Paganiniego, znanego dotąd głównie ze swych kompozycji skrzypcowych, Lipińskiego jako symfonicznej skromnej haydnowskiej „Uwertury”. Jej webowski romanizm, nastroszony instrumentarium, niemal beethovenowskie akcenty dramatyczne, wszystko to ukazało nam sylwetkę twórczą tytanu skrzypiec w zgola odmiennym niż dotąd świetle. Marę wrażeń dopełniło precyzyjne i nad wyraz plastyczne wykonanie Symfonii Bacewiczówny. Mieniące się różnorodnymi barwami „Appassionata”, stanowiąca część pierwszą dzieła na drugą pozostanie mi w pamięci. Solistka koncertu inauguracyjnego, Regina Smendzianka, przypomniała nam „Fantazję” Paderewskiego. O Smendziankę już do dawna można pisać tylko dobrze... Niezwykła pieczołowitość, z jaką artystka podchodziła do każdego z wykonanych dzieł, muzykalność pozwalająca jej na trafne odczytywanie właściwego stylu, a przy tym pełny, okragły i krystaliczny dźwięk oraz zadziwiająca sprawność techniki — oto walory które tak dodatnio zaważyły na wrażeniu jakie odnieśliśmy słuchając „Fantazji”. Nie stawałać przecież ewenementu wśród naszej literatury fortepianowej.

„Capella Bydostiensis pro Musica Antiqua” to zespół znany łódzianom ze swego rewelacyjnego występu w naszym

mieście. Słuchając jej na drugim z kolei koncercie festiwalowym odniosłem wrażenie pewnego wyczuwalnego obniżenia lotu: brzmienie zespołu instrumentalnego było zmatowiałe, a i chór chłopięco-męski wraz z solistami — wokalistami nie zabłysnął tym razem dawnym walecznym brzmieniem. Repertuar koncertu byłby: „Symfonia” bliżej nie znanego jeszcze kompozytora polskiego z XVIII wieku Engelstada podobno autora jedenastu (!) symfonii, rodzaj „ari koncertowej na sopran i ciarino”, Damiana Stachowicza, działającego w Łowiczu w wieku XVII-tym kompozytora i uczonego, a także polichoralna „Missa” koncertata La Lombardesa, czołowego przedstawiciela polskiego baroku — Bartłomieja Pekiela, muzyka związanego z dworem Władysława IV w Warszawie. Konfrontację dawniej muzyki z nowszą, a nawet współczesną, realizował inny koncert kameralny (12 września) z udziałem zarówno Zespołu Madrygalistów, Zespołu Instrumentów Dawnych, jak i Kwartetu Smyczkowego Filharmonii Pomorskiej. Przeładowana pierwsza część koncertu (kilkanaste utworów pochodzących głównie z XVI i XVII wieku) zaważyła mocno na wrażeniu całości. Mimo kalejdoskopowej różnorodności zestawów dawnych instrumentów i dobrze „podanej” wokalistyki ilościowy przesył ledwie pozwolił dotrzeć do części drugiej, obejmującej i Kwartet smyczkowy e-moll dziś niemal zapomnianego kompozytora polskiego z XIX wieku, Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, i utwor współczesny Konrada Palubickiego „Asocjacje na trzy instrumenty”. Pierwszy z wymienionych wyżej utworów na wiązuje do haydnowskich wzorów kwartetowych z wyrażoną hegemonią i-szych skrzypiec, smutni, materialni tematycznie, jest to więc nawet jak na polowe ubiegłego stulecia technika kompozycyjna tracąca mizyką. Sam zespół kwartetowy, kierowany przez koncertmistrza Filharmonii Pomorskiej Józefa Rezlera, okazał się zespołem o znakomitej sprawności technicznej i wyjątkowo dobrej przysłuchalności. Polskie kameralne, „bezyblne” ma tu punkt godny szczególnej uwagi, a przede wszystkim — opiekli! Każdy z dotychczasowych utworów Konrada Palubickiego, zwanego silnie z Pomorzem, jest żywym dowodem, iż można skutecznie godzić i awangardowe środki techniki kompozycyjnej z logiką przebiegu formalnego bez szkolenia słuchacza. Jego „Asocjacje” były przede wszystkim muzyką, a nie zestawem pomysłów akustycznych, za którymi tak niektórzy dziś gonią w imię nieokreślonej tzw. „wyobraźni” koncentrowała na sobie uwagę słuchaczy zarówno — jak już rzekłem — logiką swego rozwoju jak i opartym na doskonałej znajomości właściwości technicznych realizujących ją instrumentów (skrzypce, wiolonczela, fortepian) charakterem całości.

Niedzielny koncert kameralny (10 września) przyniósł pierwszy silny akcent łódzki. Był nim występ Łódzkiej Orkiestry Kameralnej „Pro Musica”, pracującej od kilku lat pod kierownictwem Zbigniewa Friemana (którego w Bydgoszczu ujrzeliśmy jako dyrygenta) i Mirosława Pietkiewicza (redaktora partii klawiszowej, a także organów). Świetnie brzmie i dźwięki i właściwa stylizacja młodego zespołu łódzkiego wyrażała się w najodpowiedniejszego dla siebie gatunku repertuarowego. Dostosowując się do przyjętej przez Festiwal Bydgoski zasady konfrontacji łódzkie zaprezentowały zarówno muzykę dawną, jak i współczesną z wielokrotną przewagą ilościową tej ostatniej. Coż, obiektywnie trzeba stwierdzić, że wolimy ich w muzyce dawnej, „Sonata a due violini con basso pro organo” Stanisława Sylwestra Szarzyńskiego, mało jeszcze dziś znanego kompozytora polskiego z przełomu XVII i XVIII wieku, była utworem który wywołał największe wrażenie. Dwie części I Koncertu na orkiestrę smyczkową T. Kas

serna (takie „kawałkowanie” nie powinno mieć miejsca na festiwalowej estradzie), a także „Sulta na orkiestrę smyczkową” M. Spisaka, wykazywały ogrom pracy włożonej w te błyskotliwe dzieła, lecz jako utwory wymagające z samego swego założenia dużej, chórowej obsady typowo orkiestrowej, a nie kameralnej, nie mogły uzyskać — mimo pieczołowitego, jak rzekłem, przygotowania optymalnego efektu, Zgola inaczej rzecz miała się z „Czterema sonetami miłosnymi” do słów W. Szekspira, T. Bairda, Solista Jerzy Artyz o „Jedwabnym” barwioniu i kulturalnej, chwilażliwej, bogatej w swej wyrazowej skali, interpretacji, we współpracy z czełym zespołem wprost każda fraza zespołu smyczkowego wzbogaceni o klawesyn, dali archaizującą kompozycję Bairda (zachwycającej zresztą, nawiązującą do stylu o pięć lat starszej suity „Colas Breugnot”) idealną oprawę wykonawczą. To jednak kompozycja par excellence kameralna... Uzupełniając występ zespołu łódzkiego organista Leszek Werner, prezentując fragmenty Tabulatury organowej W.T.M. z końca XVI wieku, instrumentalną wersję jednego z motetów Mikolaja z Krakowa oraz dwie kompozycje współczesne: Etiude Nr 1 i 5 T. Machla, czynił nieprzerpane wrażenie jakiegoś niedowładu w subiektywnym zaangażowaniu się w wykonanie tych utworów. To obiektywizująca stąd nie „obok” muzyki poprawnego też wrażenie tylko poprawnego jej odczytywania ze szkoda zwłaszcza dla w swej istocie frapujących Etiud T. Machla, nie oddanych z niezbędnym wyrazem.

Znakomitym urozmaiceniem festiwalowej sceny był panie działkowy koncert kameralny, „muzyka nocą”, urządzony w rotundzie pięknego swa klasycystycznej architektury, w Lubostroni, wzniesionego w 1800 r. na wzór sławnej Villa Rotonda A. Palladia. Tym razem rozporządzający bogatym repertuarem polskiej muzyki fortepianowej od Ogińskiego po Szymanowskiego, dobry technicznie Jerzy Maksymiuk, nie mógł w pełni rozwinąć skrzydeł z uwagi na niezbyt wysoką klasę instrumentu, jaki znajdował się w rotundowym salonie pałacu. Dla mnie osobliście prawdziwą rewelacją był występ w ramach tego koncertu Hanny Rejmer, sopranu o imponującej sile dramatycznej wyrazu, śpiewaczki o niezwykle żarliwej ekspresji. Pieśni Wielkiego, Maszyńskiego, Karłowicza, a zwłaszcza Szymanowskiego (znakomite „Święty Boże”) znalazły w artystyce porównywalną interpretację. Do jej niezaprzeczalnego sukcesu niemały wkład wniosła Maria Jurasz, akompaniująca o rzadko spotykanej kulturze, plectrumie wobec swego zadania i nieskazitelną precyzją.

Środowy, przedostatni koncert festiwalowy, zawierał symfonicznie zapomnianą lub mało jeszcze u nas znaną (Tansman). Tym razem z pulpitu dyrygentem Filharmonii Pomorskiej stanął Tadeusz Strugała, prezentując starannie przygotowany program zainaugurowany wykonaniem takie (choć wspomnianym już „Uwerturą”) niedawną, odnalezioną w ZSSR Symfonii B-dur Karola Lipińskiego, utworu zawierającego wyraźne reminiscencje beethovenowskie jeśli chodzi o materiał motywiczny, zaś haydnowskiego w ogólnym jego kształcie. Pierwsza z solistek wieczoru, Lidia Kozubówna, pięknym tonem i starannością frazowania daremnie usiłowała wynagrodzić braki instrumentalny utworu, zrekonstruowanego niestety z zastosowaniem instrumentacji zbyt „grubej”, dalekiej od romantycznego charakteru typu melodyki i harmoniki „Fantazji” na fortepian i orkiestrę H. Pakulskiego, kompozytora z przełomu XIX i XX wieku. Z tych samych powodów efekt usiłowań drugiego solisty wieczoru, skrzypcy Igora Iwanowa, ciekawie interpretującego Koncert skrzypcowy L. Różyckiego, nie dał zadowala-

jących rezultatów. Solista, rozporządzający szlachetnym, lecz niezbyt wielkim tonem, daremnie usiłował przedrzeć się przez gęstwinę szaty instrumentalnej, również — jak i w poprzednim wypadku — stanowiącej opracowanie, a nie będącej dziełem samego twórcy utworu. Nie będę chyba daleki od powszechnej na ten temat opinii, jeśli zasugeruję ponownie nie prób opracowania instrumentalnego obu utworów. Elementem konfrontacyjnym koncertu była nowoczesna, choć nie szokująca wyborem środków, zwarta, napisana z uwzględnieniem maksymalnej oszczędności i ekonomii w wykorzystywaniu materiału tematycznego „Musica pour orchestre” A. Tansmana, jednak załóżnie okrojona do dwu zasadnych fragmentów. Szkoda, Nasuwa się tu mimowolnie myśl o potrzebie może innej jeszcze konfrontacji: ilości imprez z możliwościami pełnego ich przygotowania...

Festiwal zamknął gościnny występ orkiestry Filharmonii Szczecińskiej, która „na żywo” dane mi było usłyszeć — wstyd się przyznać — po raz pierwszy. Pierwsze wrażenie: to dobra, rzetelnie przykładać się do pracy orkiestra, o wybornym poziomie, dająca sobie świetnie radę nawet z tak trudnymi utworami, jak fitebergowska wersja orkiestrowa „Nokturnu i Tarantelli” Szymanowskiego. Niewątpliwie to zasługa kierownika zespołu, Józefa Wilkomirskiego, którego po latach znalazłem jako bardzo interesującą indywidualność dyrygentką o czytelnej precyzji w opracowaniu utworów, ciekawej interpretacji i nieaptecznej sprawności w akompaniamentach. Zaprezentowana w wstępie Symfonia D-dur gnieźnieńskiego kompozytora z przełomu XVIII i XIX wieku, Antoniego Habela, utrzymana w ortodoksyjnym stylu i formie, właściwym klasycznym wiedeńskim, okazała się utworem ciekawym i zapewne trafi na stałe do repertuaru krajowego. Festiwal zakończyły występy dwójki łódzkich solistów: Delfiny Ambrozjak, uroczą w trudnych „Ślopiwniach” Szymanowskiego, i Władysława Kedry, którego publicznosc porównywalnym oddaniem całej, ście popowej wirtuozerii, charakterystycznej dla Koncertu fortepianowego Aleksandra Zarzyckiego! Bism nie było wprost końca!

Panie Redaktorze, nie byłoby pełnego obrazu Bydgoskiego Festiwalu, bez stwierdzenia, że owo poetyckie miasto było nim przez długie tygodnie poprzedzające, nie mówiąc już nie o tygodniu festiwalowym; Niemal w każdej witrynie sklepowej, hallu kina czy urzędu, wszędzie widniały okoliczności we napisy, interesujące graficznie plakaty, a nawet egzemplarze pracownych szkiców instrumentów jako symbole tej godnej zażności imprezy! Ruchliwe Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, z którego ramienia patronował akcji profesor Konrad Palubicki, zorganizowało w ramach Festiwalu dwudniową sesję naukową, tym razem rozszerzoną również o problematykę nowszą, bo XIX-wieczną. Na niej to m. in. usłyszeliśmy odkrywcze osiągnięcia nad twórczością Lipińskiego, przedstawione w referacie gościa z ZSSR, doc. Włodzimierza Grigoriewa, jak również zapoznaliśmy się z rezultatami badań naszych naukowców nad mało jeszcze znanymi muzykami XIX wieku (prof. Władysława Ziembarskiego o Franciszku Scigalskim, i mgr Pawła Podekci o muzykach częstochowskich tego okresu)

Nie sposób wspomnieć o wszystkim, co wiąże się z tym interesującym „konfrontacyjnym” festiwalem. Wiele jest problemów, musiwa się i o problematyce „ataku kultury” i związanych z tym potrzeb uśprawniania informacji, i o problemach tak modnej ostatnio fali opracowywania starej muzyki. Pozwoli Pan, Redaktorze, iż odłożymy to do którejś z najbliższych okazji.

Tele - obiektyw

Nie obłany egzamin

„Maturzyści” raz jeszcze nie obłani egzaminu.

To nie, że telewizyjna adaptacja sztuki Władysława Skowrońskiego nie była prapremiera. Że kształt ekranowy „Maturzystów” uformowany został w przeszłości i przechowywany w konserwie, czyli w telerecordingu, w napisie. Patrzyłem na „Maturzystów” pod kątem ich sprawdzania się w telewizji właśnie obecnie, w dwadzieścia lat po napisaniu sztuki.

Oczywiście, wiele realiów zmieniło się od 1955 roku. ZMP stał się już historycznie zamkniętym rozdziałem w ruchu młodzieżowym. Z naszego

potocznego języka wyparowała napuszona frazeologia. Zaniechaliśmy przynajmniej każdej najblizszej nawet sytuacji życiowej do ideologicznych pryncypiów. Oddzieliliśmy nieznosnie dydaktyczny, pouczający ton, który w minionym okresie panował wszędzie, w zakładzie pracy, w szkole i nawet w domach prywatnych.

Szkola była odcinkiem szczytów gólinie narażonym, gdyż ze swej natury jest na dydaktykę skazana. Ale dydaktyka dydaktyce nierówna. Bardzo łatwo o przekroczenie granic strawności i popadnięcie w drażniące medrkowanie. Młodzież jest instrumentem bardzo uczulonym na te przestrosty. Że dozwolona dydaktyka może wywołać odwrotny skutek. Zbudzić przekore i wewnętrzny opór nawet przeciw w zasadzie słusznym sprawom.

Otóż w świetle tych właśnie błędów przeszłości „Maturzyści” wychodzą obronną reakcją. Nie znaczy to, oczywiście, że są wolni od piętna, jakie na całym ówczesnym

życiu ciążyło. Wielu sformułowań nie użyłbyśmy dzisiaj, a dalsza ich porcja wyrczyła chyba telewizyjną adaptację. Walka, jaka Skowroński poddaje przeciw schematom wychowawczym, przeciw pierzaniu zakłamaną poprawności i hipokryzji, przeprowadzona jest — w naszym dzisiejszym odczuciu — w sposób niesmiatły.

Sam punkt wyjścia sztuki może zaskoczyć. Jeden z uczniów zamieszkał w „Stanzardzie Młodych” korespondencje, a w niej poddał generalnej krytyce stosunki panujące w szkole le ze szczególnym uwzględnieniem organizacji młodzieżowej. Nie cofnął się przed imiennymi oskarżeniami pod adresem swych kolegów, najostrejsz potrafiwał własnego przyjaciela.

U Skowrońskiego napisanie listu do redakcji uznane zostało w konkluzji za zasługę, za ewidentny wyraz szlachetnego nonkonformizmu, który w efekcie doprowadził do ekspansji winnych i oczyszczania atmosfery w szkole. Dla nas dziś sprawa rysuje się w sposób bardziej złożony.

Na szkole u Skowrońskiego artykuł w „Stanzardzie Młodych” spada jak grom z jasnego nieba. Był więc rodzajem desperackiego zaskoczenia, gwałtownego przetrwania, znowy milczenia wokół praktyk, które sam oskarżył zniósł dotąd bez protestu. Czy w taki sposób powinno się manifestować sprzeciw? Czy tej ostrożności nie powinno wywołać przeświadczenie, że użyto się już wszelkich możliwych środków w tonie samej społeczności szkolnej bez wywiekania spraw nazewnątrz?

Napisałem, że Skowroński stawia problem młodzieży i wychowania w sposób niesmiatły. Nie jest to zarzut przeciw pisarzowi. Tworzył swoich „Maturzystów” w okroślonym układzie uwarunkowań. Wprawdzie rozwijał się już wtedy ogólnokształcący i ogólnonarodowy dyskurs, która w efekcie doprowadziła do pełnej demokratyzacji życia, ale Skowrońskiego limitował aktualny wówczas zakres dyskusji.

Dlatego nie o wszystkim mó

wi pełnym głosem, ucieka się do półprawd. Szuka możliwości poprawy w ramach panującego wówczas systemu wychowania, nie posuwa się do poddania rewizji samego systemu.

Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że wadliwy system należy już do przeszłości. Możemy analizować dogłębnie jego zły strony, nie nie krępuje naszych oczu. Skowroński w 1955 roku był w położeniu mniej wygodnym, niemniej jednak „Maturzyści” wciąż się na liście aktywnych krytyków błędów występujących wówczas w życiu społecznym.

Półwieczne wysiłki Skowrońskiego stały się z perspektywy lat i zmian, jakie zaszły w naszym kraju, zasługą. I dlatego słusznie zrobił Józef Stotwiński i telewizja, wracając do „Maturzystów”, a nie próbując odebrać im cech i koloru okresu, w którym byli napisani.

Telewizja! Nareszcie pod koniec felietonu dochodzimy do spraw, którym „Tele - obiektyw” ma służyć. Czy

właśnie telewizja nie jest znakomitym środkiem dla dokonywania takich konfrontacji? Czy sięganie po latach do zapisów telewizyjnych nie stanie się w przyszłości dodatkowym źródłem oceny pewnych przemijających zjawisk, materiałem dla historyka, socjologa, polityka i dla każdego, kto będzie chciał sobie wyrobić sąd o przeszłości?

W tej chwili uwagi moje brzmia broche na wyrost. Telewizja polska liczy sobie w ogóle dopiero dwadzieścia lat, a zapisy telewizyjne pojawiły się zaledwie od lat kilku. Niemniej już teraz można stwierdzić, że z upływem czasu coraz ciekawsze będą powroty do pozycji zarejestrowanych na taśmie i spoczywających na półkach telewizyjnej taśmoteki, niby wino leżakujące w piwnicach i nabierające mocy.

Władysław Głowacki

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

Bez strachu

DOBRO I ZŁO

Trudno jest czynić dobro i zło — jeszcze bardziej trudniej — w kwestii dobra i zła pozostać nieczynnym — być może zresztą bierność w sprawach dobra i zła jest nie możliwa — biernie dobry, to znaczy zły, podobnie biernie zły, to zły „biernie dobry”, to zwrócić uwagę na logiczne i racjonalne sprzeczności — dobro wymaga aktywności i to już pierwsza jego przewaga nad złem. Obojętność jest formą zła — obojętność jest etycznie jedyną, która jest negatywna. Wcale nie zamierzam wyklądać tutaj treści pojęć „dobro” i „zło” — nie wiem, czy jest to, w którym jestem tak znakomicie poinformowany, mało też jest spraw, które tak prawnie odwołujemy. Oczywiście, że ten, w którym zwycięża pragnienie zła, czyni pewne kroki, by przed innymi i przed samą sobą uchodzić za zło. Sokrates, który, jak się wydaje, ze źródła zła jest niewiedza, a podstawą dobra — wiedza, sokrateski intelektualizm etyczny znankrutował nie w naszych czasach — upadł już w starożytności, a obalili go tragicy greccy. Bóg, który bohaterowie w pełnej świadomości dobra wybierają, niekiedy zło. Czynią tak, by utwierdzić się w wolności wyboru, bowiem nad nimi stoi konieczność i ich istoty problemem nie jest wybór pomiędzy dobrem i złem, lecz przeciwnie: nie się konieczności. Dla tego walczą o własną wolność — stają się docieł strukturą losu, poznają zarys przeczucia, kierunek konieczności i wszelkie siły burzą tę strukturę, zmieniają zarys i kierunek. W politycznym świecie i w świecie każdej z tych, by zostać bogiem i to bogiem szczególnym — bogiem niepojętym, przeznaczenia. Motywy dobra i zła nie mieszczą się zatem w sferze intelektu, ich źródła tkwią w sferze uczuć, w pragnieniu, w namiętności, w absolutnej wolności. Ten kto dąży do zła, jest błądzący, pragnąc sygnatury działania lub błędności — jest zły, a ten kto godzi się na sygnaturę, jest dobry. Dobro polega na dobrowolnym dążeniu do zła, zło na próbach odrzucenia wszelkiego zła. Dobro polega na udzielaniu świadectwa zła na wyłączeniu ich pobierania. Każdy, każdy nieomylnie wie, jak to trzeba robić. Patrząc od strony rozmyślenia, enefgii dobro jest znaczącym wysiłkiem, a zło lenistwem, oglądając nasze fi-gury od strony poznawczej, dostrzegamy, że dobro jest prawdą, a zło kłamstwem — od strony stopnia świadomości wreszcie stwierdzamy, że dobro jest pełną przytomnością, a zło zamroczeniem i złą. Oto siedzę w miękkim fotelu — jeżeli zbyt długo pozostanę w tej pozycji, uczynię zło, jeżeli zmuszę się do wysiłku, uczynię dobro. Zjemy w świecie dobrym i złym, wznoszenie się ponad te kategorie jest równie niemożliwe jak opadać poniżej nich, ponieważ sami dziełami naszymi lenistwem i dzięki naszym wysiłkom podobną strukturę naszemu światu nadajemy. Wytwarzamy świat moralnie dwójsty, tworząc go dwójstym energicznie. Dalej zbrodniarzem do rak łopaty i nad zbrodnię ich, by zgodnie z potrzebami społecznymi przekopywali ziemię — im więcej jej przekopują, tym lepsi będą z nich ludzie, ci, którzy zajmują się wspinaczką górską wiedzą o tym, że im wyżej się wspieli, tym większe osiągną dobro — oddychają czystym powietrzem i chcą z niego skorzystać. Przypominam sobie chwilę, w której byłam bezbłędnie dobrym człowiekiem — w siałem nad przepaścią i czując jak powoli zsuwa się nogi trzymając obręcz kepe szorstkiej trawy. Wytzymał czy nie wytrzymał — pękły poszczególne łańcuchy, ale powoli wciągałem się w górę. Byłem w tej chwili — największego w moim życiu wysiłku — bezgranicznie życzliwym wszystkim ludziom bez względu na to czy spadłbym w przepaść, czy wspiął się w górę.

BERNARD SZTAJNERT

Wydany przez Leninską Nagrodę, Bohater Pracy Socjalistycznej, Ormianin Mar-tiros Sarjan zapisał o wrażeniach z wystawy powiedział: „Ogólne wrażenie jest dobre. Artysty popracowali solidnie, aby uroczystości uczcić 50-lecie Rewolucji Październikowej. Wielu z nich podjęło trudnych tematów, wymagających znacznego mistrzostwa i dużego wysiłku. Są sukcesy, ale są też i prace mniej doskonałe. Ogólnie, plastycy są na właściwej drodze”.

Również w Taszkencie otwartą została wystawa ponad tysiąc dzieł uzbekich malarzy, rzeźbiarzy i grafików. Najlepsze prace zostaną pokazane na wystawie Wszechzwiązkowej zorganizowanej dla uczczenia Wielkiej Rewolucji Październikowej.

„Myśli Picassa”. Odfo-żywszy żarty i kpinki na bok stwierdzić musimy, że próbkę „Myśli Picassa” jakie prezentuje „Le Figaro” cechuje do-wcip i to co Francuzi nazywają — l'esprit. Oto niektóre cytaty z „Myśli Picassa”:

„Gdy byłem dzieckiem matka mówiła do mnie: „Jeśli będziesz żołnierzem, zostaniesz generałem. Jeśli stanięś się mnichem, będziesz papieżem”. Chciałem być malarzem i zostałem Picasssem”.

„To pięknie jeśli malarz wie co robi. Jakie malarstwo najbardziej mi się podoba? Oczywiście własne”.

„Trzeba mieć dużo czasu, aby być młodym”.

DLA UCZCZENIA WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA

■ Dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej w Związku Radzieckim urządzane są liczne wystawy plastyczne. I tak np. w salach erewańskiego Domu Artysty otwartą została wystawa jubileuszowa, która zgromadziła 400 dzieł, obrazów, rzeźb, grafik. Wszystkie te dzieła armeńskich plasty-

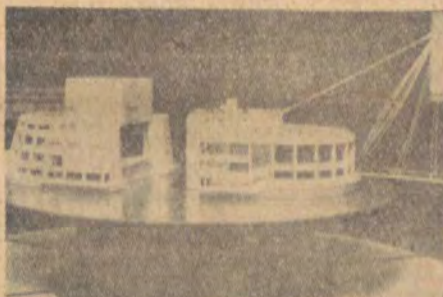
MODEL PŁYWAJĄCEGO OŚRODKA KULTURALNEGO

■ Na statku motorowym „Linth” zostaną pokazane modele pływającego na jeziorze Żurichskim ośrodka kulturalnego.

Jeden z najbardziej interesujących projektów składa się z dwóch odrębnych, niezależnych od siebie pływających budynków, ale tworzących jeden ośrodek. Lewa część zawiera scenę ze wszystkimi niezbędnymi

pomieszczeniami roboczymi i miejscem dla orkiestry. W części prawej znajduje się widownia, kasa i foyer. Ta część ośrodka może być transportowana na brzeg w celu odwołania na ląd widzów. Widownia ma 600 miejsc.

Przewiduje się, że w takim pływającym centrum kulturalnym mogłyby się odbywać 150 spektakli rocznie. Projektuje się wystawianie sztuk dramatycznych, organizowanie koncertów i pokazów baletowych.



Pływający ośrodek kulturalny

zabiera się do opracowania swoich poetyckich encyklopedii, która z naszymi pojmowaniami encyklopedii niewiele miała wspólnego. Poeta żył zresztą obsesją porządkowania i układania wszystkiego w system encyklopedyczny. Obecnie oprócz jego dzieł znamy szereg jego myśli, nieraz przełotnie rzuconych na papier, rodzaj aforyzmów, wynik przemyśleń, od-



Novalis

czuć fantazji i najczystszej poezji wreszcie. „Obraz to ani alegoria, ani symbol innej rzeczy: to symbol siebie samego” — pisał Novalis. A na innym miejscu: „Wyo-brażnia jest tym cudownym zmysłem, który może zastąpić wszystkie nasze zmysły...”

Ewald Wasmuth zajął się opracowaniem niedokończonego przez Novalisa gigantycznego dzieła. Jego zasługą jest uporządkowanie licznych notatek-aforyzmów, które z punktu widzenia naukowej ścisłości mogłyby niejednokrotnie budzić wiele zastrzeżeń, ale które niewątpliwie mają w sobie walor poetycki. Bo jest niezaprzeczalne, że Novalis w dziedzinie poezji był oryginalny i nowatorski i że wpływ jego pisarstwa zaznaczył się w dalszych dziełach literatury światowej.

„MYŚLI” PICASSA

■ Znany z tendencji do ironii, czasem nawet złośliwości, parwsi dziennik „Le Figaro” twierdzi, że Picassso jest człowiekiem, który pozostawił towarzyszkowi Mao lego „Myśli”. Toteż na wzór Mao wielki malarz ma zamiar opublikować w najbliższym czasie małą książeczkę, poredną do noszenia przy sobie i wymachiwania nią, pt.

do Uralu zapoznając się z wielkimi budowlami, uczy się języka rosyjskiego, aby tym łatwiej porozumiewać się z radzieckimi ludźmi i lepiej zapoznać się z rosyjską literaturą. Kilkakrotnie potem odwiedza ZSRR. Sztuce radzieckiej poświęcił Aragon kilka swoich książek.

„Aragona, prozaika i poety — pisze Kirsanow na łamach „Prawdy” — nie można oddzielić od Aragona bohownika pierwszych szeregów w walce ludzkości o pokój na naszej planecie”.

A w „Literaturnoj Gazecie” czytamy w zakończeniu artykułu omawiającego twórczość i działalność Aragona: „Nie sposób jest nie tylko owo wiedzieć o wszystkim, co napisał Aragon, poeta, powieściopisarz, nowelista, krytyk, filozof, publicysta. Nie sposób jest nawet wymienić tytuły wielu dziesiątków jego książek. Nasz przyjaciel Aragon ma 70 lat. I jak dawniej jest nieustraszony, jak dawniej zmierzający ku przyszłości”.

Gazeta” przypominała m. in., że Maurice Thorez nazwał Aragona chlubnym mianem poety ojczyzny. Bo też całe życie poświęcił Aragon ojczyźnie. Zbliżając się do kół postępowych wste-



Louis Aragon

W 70-LECIE ARAGONA

■ 5 listopada 1928 roku Louis Aragon, liczący wówczas 31 lat, ujrzał po raz pierwszy trzydziestoletnią Elzę. Było to na Montparnasse, gdzie poprzedniego dnia przedstawiono Aragonowi radzieckiego poety, Włodzimierza Majakowskiego, w towarzystwie Lili Brik, która była siostrą Elsy.

Odtąd Elsa widziała na trwał w życiu Aragona. Był jej natchnieniem, przyjacielem, żoną i towarzyszką po plórze.

Dziś po upływie wielu lat, gdy już oboje mają poważny dorobek pisarski, ukazuje się w najbliższym czasie w Paryżu wspólne wydanie dzieł Aragona i Elsy Triplet pt. „Oeuvres croisées”, będące poważnym i niezwykłym wydarzeniem we współczesnej literaturze francuskiej.

W 70-lecie urodzin wybitnego pisarza prasa światowa poświęca wiele artykułów, wspomnień, omówień jego twórczości i dotychczasowej działalności.

„Literaturna puje w roku 1927 do Komunistycznej Partii Francji, w której jest przez wiele lat aktywnym członkiem. W roku 1930 odwiedza Związek Radziecki, podróżuje m. in.

„ENCYKLOPEDIA” NOVALISA

■ W Paryżu ukazała się książka „Encyklopedia” Novalisa, dokumenty zebrane przez Ewolda Wasmutha.

Georges Friedrich Philipp von Hardenberg, który dzieła swoje podpisywał jako Novalis, urodził się w starym zamku w Oberwiederstedt w roku 1772. Był jednym z twórców niemieckiego romantyzmu i jak na romantyka przystało zmarł młodo nie dożywszy lat trzydziestu.

Śmierć młodzieńczej, szesnastoletniej Zofii von Kühn, w której poetaochał się miłością romantyczną i z którą był od dwóch lat zaręczony, wstrząsnęła nim do głębi. Aby przezwyciężyć swój ból po stracie ukochanej, postanowił pracować nad własnym doskonaleniem się. Postanowił odkryć świat, nie świat realny, ale romantyczny świat marzenia, który dla niego zdawał się być bardziej realny niż sama rzeczywistość. I Novalis

artysty. Te obie życiowe pasje reżysera znalazły w jednej stronie podjętą ważną problem społeczny i obyczajowy, z drugiej przedstawieł w sposób formalnie nowatorski. Przysłać również trzeba, że sposób ujęcia i przedstawienia miał służyć możliwie najpełniejszemu obrazowi spraw poetyckich. Niestety, reżyser nie podolał tym zamierzeniom, nie osiągnął pełnego sukcesu, misternie stawiana konstrukcja okazała się krucha.

Z socjologicznego punktu widzenia rzecz traktując, powiedzić trzeba, że prawnik Cayatte, niewątpliwie znakomicie zorientowany w faktach społecznych nie zdołał wyjść poza krąg prawd tak dziś oczywistych i powszechnych, że aż banalnych. Jego film powie la diagnozy powszechnie znanej, nie wzbogaca naszej wiedzy i doświadczeń. A tylko tego moglibyśmy w filmie szukać, bo przecież nie środków terapii.

Chciałabym być sprawiedliwa a już nie jestem. Czegoż więc można było bowiem od Cayatte'a oczekiwać? Zgoda, że tylko potwierdził to co wiemy, ale przecież był uczciwy — opowiedział życie małżeństwa bardzo typowego (śro-dowisko francuskiej dość mieszczańskiej inteligencji, jak widać niewiele różni się od

polskiego) i bardzo przecięt-nego. Ludzie się kochają, zakładają rodziny, borykają się z kłopotami, pragną realizować swe osobiste zawodowe ambicje (dziś, co bardzo istotne w temacie, również kobiety) a nie mają dla siebie zrozumienia, szukają poza domem rekompensat, miotają się między miłością a obowiązkiem, stwarzają wbrew sobie pozory, które mogą zniszczyć wspólne dotąd życie, mijają się, są obcy nawet wtedy, gdy tego nie chcą, patrzą na fakty tylko ze swego punktu widzenia, chcą widzieć winę tylko po jednej stronie, bo to ułatwia życie i decyzje. To wszystko wiemy, to wszystko jest też w filmie Cayatte'a, ale badamy uczuci — ani psychologia, ani socjologia niewiele tu już chyba dodadzą i wyjaśnią.

Wydaje mi się, że zarzut oczywistości i banalności „Życia małżeńskiego” mimo wszystko nie może dotyczyć jego socjologicznego aspektu, można tu tylko mówić o tym, że robienie filmu o rzeczach powszechnie znanych jest w silkiem zbędnym, ale ileż mniej filmów byłoby wtedy na świecie.

Porażkę Cayatte'a widzę w czymś innym. Eksperymentu formalnemu, którego w słusznym założeniu reżyser się podjął, zaszkodził „akade-

O FILMACH DOBRZE I ŹŁE



„ŻYCIE MAŁŻEŃSKIE” (I seria „On”, II seria „Ona”) Andre Cayatte'a przywodził na nasze ekrany z pięcioletnim opóźnieniem lecz poprzedzone znaczącym sem wzbudziło niewątpliwie zainteresowanie. Dochodziły nas wieści, że film Cayatte'a stał się wydarzeniem nie tylko artystycznym, co socjologicznym, sprowokował we Francji długotrwałą dyskusję, na której usługi oddano bardzo popularny magazyn „Eile” a także programy w radio i telewizji.

Osobiste spotkanie z filmem Cayatte'a tylko w części potwierdziło krańce o nim opinie. Wbrew wszelkim przypuszczeniom, które mógł pomysł Cayatte'a powodować z żalem trzeba stwierdzić, iż na dobrym pomysłu rzecz właściwie się skończyła. Otrzyma-limy dwie wersje tego samego życia a właściwie współżycia dwojga ludzi, relacje i interpretacje Jean — Marca i Francoise, historię powolnego rozpadu ich małżeństwa. Możemy wybierać tę wersję, która nas przekonuje, możemy szukać prawdy pośrednią, możemy wreszcie zanegować możliwość istnienia jakiegokolwiek prawdy w ogóle.

Nie wolno jednak być niesprawiedliwym wobec niewątpliwego wysiłku i ambicji A. Cayatte'a — prawnika i

O FILMACH DOBRZE I ŹŁE

mizm” realizacji. Gdybyśmy obie serie potraktowali jako dwa samodzielne filmy, otrzymalibyśmy dwie bardzo żałosne, wznoszenie się w tonie i wymowie historyjki. Jedną o szlachetnym pełnym zawodowej pasji prawniku, któremu nie powiodło się w życiu osobistym, drugą byłaby żława, melodramatyczna opowieść o uroczej, pełnej ambicji własnej, ale i miłości do męża kobiecie, która w życiu prześladowała pech i złośliwe zbiegi okoliczności. Na szczęście oglądamy te filmy razem, nabierają one dzięki temu innego sensu, stają się wizerunkiem własnym osoby opowiadającej. My zaś mamy więcej satysfakcji, gdyż wy-daje nam się, że jesteśmy mądrejsi od bohaterów, że wiemy o nich więcej niż oni sami, cieszą nas wysiłki reżysera prezentującego różne warianty tych samych sytuacji, dialogów i rysunku bohaterów. Ale tu właśnie „jest pies pogrzebany”. By formalne zamierzenie stało się sukcesem trzeba było mieć innych bohaterów do dyspozycji. Z obu obrazów przeciętności nie może wyjść jeden lepszy, mądrzejszy, pełniejszy. Podwojona przeciętność zmieniła ilość, nie zmieniła jakości. Podobno to wbrew prawom dyalektyki, ale widać że sztuka, tak przy tym przekorna jak kino, różnie to być może.

EWA NURCZYŃSKA

Coś pali się

MOTTO:

„Nie straszny ogień nam,
Nie boim mocy tej,
Ja w ogień idę sam,
A ty wciąż, bracie, wodę lej”.

(z piosenki strażackiej).

„Jeśli sędzicie, że uczyliście się matematyki w szkole średniej, to szybko pożegnajcie złudzenia” — tak pisał we wstępie do swojego dzieła „Podstawy analizy” znakomity matematyk, prof. Landau z uniwersytetu w Goettingen.

Jeśli sędzicie natomiast, że znacie prawdę o Polsce gromadzkogminnej, choć nigdy nie uczestniczyliście w jubileuszu ochotniczej straży pożarnej — to darujcie, śmiech bierze pustą, a nawet trwoga.

Więc jak tam było, opowiem.

„RYPIEMY” NA PRZELAJ

W Łodzi na tramwaj, ozorkowski czeka się w niedzielne południe, jak na zmiłowanie boże (przyjdzie, nie przyjdzie, a może w ogóle nie jestem godzien). Przy ulicy Północnej rośnie niecierpliwy tłumek, ludzie odświeżeni odziami, panowie do lat dwudziestu sączą cienkie piwko przy kiosku w poczekalni. Wreszcie wtacza się ON — mastodont przedpotopowy — tłumek ładuje się szparko. Tramwaj podmiejski rusza.

Jakże miło nie czuć się samotnie! Tuż za Zgierzem pytam przekornie — choć drogę znam — na którym przystanku należy wysiąść do Rosanowa i jak daleko do Dzierżasnej. Z miejsca znajdują kilku informatorów. Zażywny pan z piastowskim wąsem dodaje, że zabawa będzie na sto dwa, jego małżonka narzeka „Już nie to, co dawniej”... Same stereotypy, powiecie? Wolnego! Toż to tramwaj podmiejski z blisko milionowego miasta, zaś Dzierżasna — wiocha — okropny kawał drogi — piaskowatej, za małym przystankiem na trasie. A jednak wiedza, co się tam szykuje, oceniają, czują jakiś związek. Petyferie naszej przemysłowej metropolii nie kończą się na granicy administracyjnej. Wiejskie tęsknoty wiatr przynosi nad nowe Bałuty. Co drugi facet ciąży w głębi duszy do jakiejś wiochy zabitej deskami — do czulej wiochy polskiej, która go wychowała.

Ale tramwaj już stanął — Rosanów. Idę szybko, wymijam grupkę współpasażerów z przedpotopowego wagonu. Naokoło ciska kujawsko-mazowiecka, duszne powietrze, dziwią się psy kolorowe, jesienią, kto im te cizze zakłóca — zaczynają szczeleć: nie swój.

Gdzieś za Ciosnami, zakurzony po pas, spotykam wędrowców z innej strony. Trzech czerwonych od zmęczenia chłopaków w czarnych garniturach, w białych koszulach rozpiętych pod szyją, z krawatami kolorowymi — rzecz jasna — w kleszeniach. Dzierżasna? Ano, byli ze trzy razy w życiu, na zabawach przeważnie, bo mieszkają daleko. Dzisiaj będzie ubaw na medal — mówią niemiernym już, literackim żargonem przedmieść.

Tablicę informującą, że jesteśmy na miejscu, mijamy statecznie: tablica kłamie. Przed nami spory odcinek drogi, między

domkami ogrodzonymi, z kwiatnikami od frontu.

Dopiero na samym końcu wsi — flagi i transparenty. Już z daleka słychać PAM-PAM-PAM nieśmiertelnej, strażackiej, dętej. Dmie orkiestra ile pary w gębę, nad wywarła wioską Dzierżasną, nad głowami jej mieszkańców zgromadzonych wielkim tłumem przed remizą, nad zespołem w strojach regionalnych ze wsi Babice, nad głowami Czynników Oficjalnych i przestronnym polem-parkingiem, gdzie przyciąły się samochody „ze szczebla” województwa i powiatu, tudzież kilkanaście motorów mniej lub bardziej prywatnych. Nie śmieję się wychowani na Mroźku mieszczanie: to jest naprawdę wielkie święto — rocznica pięćdziesiąta Rycerzy Świętego Floriana.

Na mównicę wszedł Stanisław Kaucz — i mówi, oj, długo mówi, a złotoustym Demostenesem nie jest przecie. Tylko, że tutaj wszystko ma swoje drugie dno. Polska mowa oficjalna jest jak guma do żucia — kleista, ciężkostrawna — od Warszawy do Giżycka ta sama. Lecz Stanisław Kaucz, emerytowany nauczyciel, przyjechał do Dzierżasnej na obchody półwiecza aż z gdanskiego Grudziądza, gdzie mieszka. A w tej tu małej wiosce koło Rosanowa spędził ongiś kupę czasu, ucząc, interesując się wszystkim naokół, współtworząc również lokalną świetność wiejskiego oddziału straży — potomka jednej z najstarszych, najpiękniejszych żarliwości ludzkich. Wszak pomoc bezinteresowna, ochotnicze spieszanie na ratunek, zażyłość i braterstwo trzech pokoleń, które ciągnie coś do granatowego munduru i tradycyjnej rogatywki — znaczą więcej niż słowa.

W województwie łódzkim doliczono się 1700 jednostek takiej ochotniczej straży.

„JA W OGIEN IDE SAM”

Schemat jest panem wydarzeń: po „oficjalkach” następuje „część artystyczna”, po tem solidnie zakrapiane przyjęcie dla wybranych i zabawa na świeżym powietrzu dla mas. Wybrani na darmowym bankiecie modulują głosy, mówią dobrze o tych „co się gniazda własnego nie wstydza”, tudzież o każdej władzy, która się pod rękę nawinie. Swoje toasty, wiwaty, nieskładne „sto lat” otrzymuje po kolei władza powiatowa, wojewódzka, ściśle zawodowa, strażacka oraz władza ludowa jako taka. Im dalej w las kieliszków, tym więcej patosu w przemowach, zaś zasługi przewodniczących, prezesów, inspektorów i sekretarzy ogromnieją, monumentalne się stają, wyrastają nad głowami śmiertelnych niczym Giewont. W tym samym czasie, za oknami remizy, zabawa rozkłada się na zakurzonej trawce, wszystkie parv tańczą, chłopa podrywają już śmiejąc, a walujące początkowo ze sobą dziewczęta — owe papużki nierozłączki wiejskich tanów — dają się porwać, każda w inną stronę, żeby wzdychać wymownie w znacznie silniejszych ramionach. Przy bucie, tłok coraz większy, choć tutaj się płaci, nie wznosi toastów i trzeba solidnie nad werczać łokcie.

W każdym ciełe reporterskim żyją dwie dusze, raczej warczące na siebie, niezgodne. Tak więc i Robert Gluth nie jest lepszy. Jednym okiem, zmrużonym, ogładam ironicznie naskórek rzeczy — drugim, szerzej otwartym, choć może bardziej naiwnym, do strzegam coś więcej. Przyjmijcie z życzliwym sercem obie relacje, spisane od momentu, gdy na estradzie przed remizą zain-tonowano pieśń domorostą, której refren zdobi przewrotnie niniejszy reportaż (patrz motto).

Słowa anonimowego autora odśpiewał dziarsko mieszany zespół regionalny. Melodia bliska, pożyczona od wierzb, co szumieć nie mają i od partyzantów, a zespół w strojach barwnych, swojskich, częściej w „Cepeli” obecnie oglądanych niż na wsi. Moja znajoma w śmiech — powiada do mnie: „Słyszysz? Elementy somosierszczyzny w pieniach strażackich, ha!”

Resztę relacji już znacie: po „oficjalkach”

część artystyczna, przyjęcie dla wybranych i hulanka na trawie dla reszty. Wieczorem samochody odjeżdżają, zabawa trwa, dzień się kończy. W tym miejscu można postawić kropkę. Zmrużone oko spełniło swoje zadanie. Ironia jest zawsze modna. Jak schematy, które atakuje.

W DRUGIEJ ŻRENICY

A jednak prawie wszyscy obecni na przyjęciu w remizie są do siebie podobni. Wprawdzie każdy zachowuje się inaczej, jeden mówi do Sasa, inny do lasa — niesłychana mieszanina flizjonmili i temperamentów — ale przesładuje mnie myśl o jakimś wspólnym mianowniku.

Pokazują mi księgę pamiątkową swojej straży, po chwili rozmawiam z zasłużonym kierownikiem szkoły, który dopiero niedawno przeszedł na emeryturę, lecz dalej mieszka w Dzierżasnej... jeden z gości. Zdzisław Bekier, również strażak-ochotnik, opowiada mi o swoich ogniowych przygodach... I w tym momencie, trochę podchochocny zespół regionalny, który przybył ze wsi Babice, intonuje, nie wstając od stołu, smętne i piękne pieśń. Akustyka sali doskonała, głosy zgrane, czujne. Potem jakieś rosyjskie czastuszki z popiskiwaniem dziewcząt i przytupywaniem. I nowa pieśń — chyba mazowiecka tym razem.

No więc mam odpowiedź prostą i żenującą.



Z WYSTAWY FOTOGRAFIKI STUDENTÓW PWSTF

Fot. — Roupem Vosguimoroukian

co nieoczywistą dla zdemoralizowanego mieszczaucha obnażajomionego z „tumiwizmem”, anemią wielu inicjatyw społecznych, melancholią miejskich zgromadzeń: Oni — ci z Dzierżasnej, z Babie i Babiczek — stworzyli dla własnej radości i pożytku ładne, świeże, amatorskie historie, którym są wierni bezinteresownie, dla siebie samych.

Wiadomo na przykład, że różnica między zawodowym sportowcem i amatorskim piłkarzem lub biegačem jest poważniejsza, niż nam się wydaje. Ale tak naprawdę kocha „czysty sport” amator-przedstawiciel

22 lata. Ale żeby tylko on? Znaczący zawodo-wo? Panie, przecie ja jestem chłop, rolnik. Mam 4 krowy, 2 cielaki, konia, 4 własne hektary i 4 z dzierżawy. Gospodarstwo, nie chwaląc się, prowadzone z głową. Ja kocham ziemię. Dużo miłości człowiek mieć powinien. Wiele jest rzeczy dobrych, każda muzyka, każda sztuka. Ale wtedy, gdy swojej własnej, od ojców, nie zaprzepaścimy.

To wszystko. Jakoś niby bez ładu i składu — od sikawki do pieśni, z Łodzi do Dzierżasnej. Ano, tak bywa.



Lewym okiem

JAK NIE WCHODZIĆ W KOLIZJĘ

Panowie z grubo wypchаныmi teczkami są jak wiadomo specyfika wielkomiejskiego krajobrazu w naszym kraju. Urzędnicy na delegacji — temat nieknięty przez socjologa. Wpływ delegacji na życie rodzinne. Delegacje a spożycie alkoholu. Nadwyżka demograficzna kobiet osiadłych i nadwyżka mężczyzn wędrownych. Korzonki, zaburzenia trawienne i inne choroby delegacyjne. Optymalny czasokres delegacji z uwzględnieniem problemu pamięci dzieci o tatulusu...

Kopalnia tematów dla psychologa, lekarza, ekonomisty, działacza kulturalnego i Kamyczka. Dawno już powinniśmy się były ukazać dwa podręczniki delegacyjnego savoir-vivre'u. Dłaczego dwa? Jeden poważny, albo i dowcipny, ale pomyślany serio, a drugi przekorny, coś jak Wittlma „Vade-Mecum”. Ten przekorny oczywiście byłby pożyteczniejszy, bo stosowalibyśmy go a rebours, a tam-

tego pierwszego nikt by nie czytał. Ale powinien być wydany, przecież dużo książek wydaje się dlatego, że powinny być wydane.

Ktoś wreszcie powinien napisać uczoną rozprawkę o tym, w jakiej pozycji należy spać w po-ciegu i o co zrobić, żeby temperatura nie była ani tropikalna, ani podbiegunowa. Wiadomo przecież, że zwyczajnie przesunięcie dźwigni w stronę „Ciepło” czy „Zimno” nie ma najmniejszego znaczenia. Nie działa.

Ktoś powinien napisać, jak należy organizować sobie kolację, nie chcąc płacić konsumpcji obo-wiazkowej; w tak zwanych lokalach, które przez cały dzień były obokurnymi knajpami, i nie chcąc zamarnować na taką drenażową kolację co najmniej trzech godzin. Bary mleczne nie rozwiązują sytuacji, bo idąc na rękę „lokalom” zamyka się je przeważnie już o godzinie dziewiętnastej. No i najtrudniejsza sprawa — jak zamieszkać w hotelu. Sprawa, wymagająca wysokiego stopnia wjałmniczenia. Pisemne zamówienia na dwa tygodnie wcześniej nie znaczą — nikt ich nie potwierdza, a po przyjeździe okaże się i tak, że w ogóle nie doszły. Miła pani z recepcji nie otrzymała i kropka. Jeśli ktoś przewidujący zaraz po przybyciu do obcego miasta, z samego rana, chce sobie zabezpieczyć nocleg — miła pani z recepcji wyjaśni uprzejmie, że należy się zgłosić o czter-nastej. O czternastej jest już inna pani i każe przyjść o osiemnastej. O osiemnastej powie, że trzeba było zgłosić się wcześniej. A co do miejsc w innych hotelach, to należy pytać w innych hotelach — nie, ona nie może, każdy musi sam.

Jest tylko jeden sposób pewny: należy mieć w mieście, do którego się jedzie, instytucję pań-stwową, która nas zna i której na nas zależy. Należy mieć w tej instytucji kogoś zaprzyjaź-

nionego, kto dla nas gotów jest ponieść pewien trud i poświęcić trochę czasu i nie tylko czasu. Może to być ktoś nie zaprzyjaźniony, ale na przy-kład taki, który nas się boli.

Ow ktoś musi mieć dobre osobiste stosunki z kimś w recepcji miejscowego hotelu. Wówczas robimy tak: piszemy albo telefonujemy na ty-dzień przed wyjazdem do zaprzyjaźnionego lub bojącego się nas pracownika instytucji państwowej w mieście docelowym. Pracownik pisze na firmo-wym blankiecie swojej instytucji zamówienie, adre-sowane do Dyrektora hotelu. Zamówienie podpi-suje Dyrektor instytucji oraz Główny Księgowy, z zobowiązaniem, że zapłaci za hotel w razie jego niewykorzystania. Zaprzyjaźniony lub bojący się nas pracownik nieśie zamówienie do hotelu i wre-cza go z uroczym uśmiechem, albo z czekoladką, albo z kwiatuśkiem miłej pani w recepcji. Roz-mawia z nią pół godziny. Następnego dnia to samo, trzeciego dnia też. Wyłącznie osobiste. Piątego dnia zawiadomia nas telefonicznie, że już można...

Przyjeżdżamy. Zgłaszamy się. Mówimy: tutaj pan Pażycki złożył zamówienie Wytwórni Pra-poletów Dętych na pokój dla Pisztyckiego. To właśnie ja. Dziękuję pani, cóż za wyjątkowo spraw-ne załatwienie...

I już się dostaje klucz. A dokoła stoją z grubymi teczkami panowie, którzy nie mają instytucji, przyjaciół, sposobów, albo którzy wczoraj się do-wiedzieli, że dziś tu przyjadą.

Im „Delegacyjny savoir-vivre” poświęcić wintem osobny rozdział: „Jak spędzić noc nie wchodząc w kolizję”. Z czym, to już sobie dopowiecie. —

CWIEK.